CENA ZŁ 40

W numerze: Jan Baranowicz, Zdzisław Hierowski, Kazimierz Koźniewski, Egon Naganowski, Tadeusz Zelenay, Wojciech Żukrowski i inni.

CZYTELNIK — Odra tygodnik — WROCŁAW — KATOWICE

NUMER 52/53 (161/162) KATOWICE, WROCŁAW SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 26 GRUDNIA 1948 ROKU ROK IV

KAJETAN STOPA

TURNIEJ JĘZYKOWY ZIEM ODZYSKANYCH

Czy Wrocław leży nad Pełtwią



Śląski talerz weselny (1872) z wytwórni gliwickiej. Na talerzu napis: „Co się znaydzie w tym Wianku dla ciebie Marianko ius was zaden nierosłący jeno Pan Bóg Wszechmogący, na pamiątkę Wesela tego, które się stało. Maia 13, ato iesc dla ciebie Bernata Mnicha bo łon Mieysce utrzimuie, choć i Oyca niema i toiesce, dla Małzonki jego bo łon będzie gospodarzem, as dosmierci iego. Roku Pańskiego 1872.“

Takiego wstrząsu i przegrupowania radykalnego nie zaznała polszczyzna nigdy, póki jej istnienia.

Wśród tych siedmiu czy ośmiu epok rozwoju polszczyzny w ciągu stuleci — nie było chwili tak osobliwej jak dzisiejsza. Odra, od kiedy płynie przez Śląsk, takiego odpustu na swych pobrzeżach jako żywa nie oglądała. Zjechały ze wszech stron naszego obszaru językowego kompanie, które się nigdy na oczy nie widziały ani nie zetknęły w takiej masie ze sobą, nie zmówiły, ba, nie wiedziały w ogóle o swym istnieniu.

NAD ODRĄ CZY NAD PEŁTWIĄ?

Najsampierw gromadą największą zjechali ci, co śpią i śpiewają a tak szybko pędzą gościńcem języka, że połowę samogłosek pogubią a drugą rozpędzą po drodze. I długo musi się człowiek ziem centralnych czy zachodnich przyzwyczajać do samego tempa tej wartkiej wymowy. Nie próbujcie jednak czynić im jakichkolwiek uwag na temat ich ortofonii czy ortoepii. Ludzie czerwieńscy są właśnie wzorem poprawnej wymowy i głosowni. To właśnie ty, krytykujący innoziemcze, mówisz wadliwie, powinieneś ode mnie brać lekcje poprawnej wymowy. Nie byle kto nas uczył: król Władysław Jagiełło i Jan III, hetman Żółkiewski i Krasicki i Fredro, którzy wszyscy setkami setek lat pijali *świży kwaśny mliku*, tak jak dziś wiernie pijają ich prawnukowie. Repatrianci zza Buga i Sanu okazali się najbardziej aktywną, zaborczą gałązką plemienia polskiego. Nad jaką rzeką leży Wrocław, to wielkie pytanie: nad Odrą czy raczej nad Pełtwią? Już dziś jest Wrocław, jeśli się uchem kierować w 60% lwowski. Bytom też może być przykładem zaborczości tej gwary. W ciągu trzech lat przybysze zza Sanu usadowili się tak mocno i władczo, że gwara tubylcza ustępować im musi co krok miejsca na chodniku. Nie tylko w Bytomiu, wszędzie indziej też usiłuje śpiewna mowa usunąć w cień i przygłuszyć inne, mniej rozdobędne gwary. Z uznaniem, z respektem odnosi się tylko do dialektu warszawskiego, rozumiejąc, że ani ona Warszawy ani Warszawa jej nie zdoła przetworzyć na swoje kopyto. Żadna inna gwara polska nie zdoła wytrzymać impetycznego naporu czerwieńskiego i cofa się, ustępuje na plan drugi już w pierwszym starciu w przedziale pociągu, w autobusie czy na targu.

WILNO I „OJEJKI“

Przybysze z północno-wschodu polskiego próbują w cichości i bardzo nieśmiało dopominać się w ta pora swych uprawnień chociażby dlatego, że z ich kręgu wyszedł Adam Mickiewicz. Nie tylko on. Stanisław Moniuszko również. I Eliza Orzeszkowa ostatecznie. I Romuald Traugutt. Ale żaden z tych wielkich patronów nie potrafił uzbroić mowy tamtejszej w łokcie i umiejętność rozpychliwości. Nadniemeńcy świadomi są swych braków, których i najświetniejsze nazwisko nie wyrówna. Nie uczyć kogoś, lecz uczyć się mają w obecnej sytuacji.

Wielkopolanom brak w usposobieniu cechy, właściwej Mazurom czy Lwowczykom. Z dawien dawna nazywano ich na Mazowszu, ojejkami dla nawyku powtarzanych często za okupantem wyrazów: „o jejku“, podobnie jak lwowiaków zowią „tajojkami“. Do startu językowego nie kwapią się, gadają między sobą. A szkoda, bo mają się czym pochwalić. Poznańska dzielnica reprezentuje gwarę bardzo swojską i rdzenną. Szczególnie w tych dziedzinach, które z obcego nalotu oczyściło 20-lecie szkoły polskiej. Ale cechuje gwarę wielkopolską b. słaba ambicja współzawodnictwa, właściwa ich temperamentowi. Bronią się uparcie, lecz nikogo uczyć, ani poprawiać, ani na swoje przerabiać nie radzi.

Tendencji do poszerzania się nie ujawniają też inne w małym odsetku obecne na Ziemiach Odzyskanych gwary, których nie wymieniamy.

BIAŁA GWARA

Przyjrzyjmy się, a raczej rzućmy tylko okiem, bo na studia nie ma w felietonie czasu, na mapę gwar polskich, opracowaną czasu pierwszej niepodległości przez prof. Kazimierza Nitscha, twórcę naszej dialektologii, obecnie prezesa Polskiej Akademii Umiejętności. Kraty, kratki, kreski i kontury uwidoczniają tam bogactwo naszych języków ludowych, wskazują zasięg i stan obszaru językowego na zachodzie, wyspy lwowską i wileńską, odcięte od pępowiny mowy, samotne i żywiące się, jak oblężone wiekami twierdze z powietrza chyba. Trzeba uważnie szukać, by znaleźć na tej mapie pola bielsze, rzadkie i całkiem białe, najrzadsze, w jednym kącie skupione. Co one oznaczają? Że tam już gwara ludowa przestała być gwarą, nie posiada prawie znamion i cech gwarowych, różni się bardzo nieznacznie od języka literackiego. Wyobrażamy sobie, że to możliwe tylko w teorii, by mowa wsioska była identyczna z językiem sfer wykształconych, piśmiennych. A jednak istnieją takie pola na obszarze języka, gdzie lud mówi tak jak pisze gazeta i poeta. Filozof wieku XIX, Jan Śnadecki poszukiwał jej na podstawie bardzo dorywczych obserwacji gdzieś w okolicach Jarosławia. Filozof językowy naszych czasów, Kazimierz Nitsch, oznaczył jej granicę szczegółowo, wydeptawszy osobiście wieś za wsią, osadę za osadą. Niewielki to kawałek: Kalisz, Turek, Częstochowa, Wieluń, Piotrków. Kto z tamtej podstawy językowej wyrósł, nie potrzebuje się kłopotać, co znaczą owe jakieś ortofonie czy ortoepie. Mama go najlepiej wyuczyła!

A Ślązak — tubylec czyli tzw. autochton? Sam język przybyszów niewiele stosunkowo dawał powodów do tarć i zadrażnień. Dziwić go mogły chyba szczegóły osobliwe. Już dawno ustaliła wszak lingwistyka, że mowa Ślązaków nie wykazuje jakichś szczególnie znamiennych właściwości, przeciwnie: jako prowincja graniczna ulegała w ciągu stuleci wpływom trzech rozmaitych gwar sąsiadujących. Dzięki temu, że zachowali tyle zawziętego konserwatyzmu, zdołali się uratować. Proszę porównać tekst najdawniejszej sprzed 600 lat modlitwy Salve Regina z tekstem śpiewanym dziś. Prawie bez różnicy. Albo spróbujcie w chacie siedlackiej odczytać głośno parę linijek z Górnickiego czy Skargi. Zrozumieją trudną dla nas staropolszczyznę od razu, predzej nawet niż Sienkiewicza lub Rodziewiczównę. Zżymać zaczął się Ślązak dziepiero, gdy go szybkomówni rodacy ze Wschodu namawiać próbowali, żeby jak najrychlej zaprzestał „rzykać“, bo ani Żółkiew, ani Stanisławów, Białystok nawet, nie wiedzą co to w ogóle znaczy. Podobnież „ożyrok“. Myślałem, że żarłok, a to u nich opilec. Zalecano by wobec tego ustanisławowili i wytarnopolili swojam staram mowam, inaczej nikt ich nie zrozumie. Ani na targu ani w szkole.

Jak się to wszystko utarło i zgodziło po pierwszych trzech latach? Zróbmy kilka wypadów dorywczych. Kryto — gonito, jak się mówi w Wielkopolsce.

SPRAWA OBOJĘTNYCH

Duże, prastare miasto nad Odrą. Kiedyś 50- dziś tylko 43-tysięczne. Kiedy tu przyjechałem po raz pierwszy, coś przed 14 laty — było w 80% wrogie i obce. Jedynie w piątek, dzień targowy, huczało polszczyzną koło figury św. Sebastiana. Gromadził się tu i wyżywał istny sejmik chłopów z całego wielkiego powiatu, na dalsze pogwarki szli do gospody polskiej, gdzie spokojnie popijali piwo Schultheissa. Wszyscy rządzili mową „obojętną“. To znaczy oboją czyli polską i niemiecką. Ostatni z Piastów Opolskich, Jan zwany Dobrym, użył tego wyrażenia, nakazując w swym „Ordunku Górnym“ (ustawie górniczej) z roku 1526, aby „bormistrz był takowy, coby obojętną mowę dobrze umiał“. Była ona wonczas tak przydatną, jak miecz obojętny (obosieczny).

Po trzech latach osmozy i ucierania się wzajemnego wiele zmieniło się na korzyść: już panie nauczycielki przestały uważać, że dziouchy odzyskane nadają się jedynie do czarnej roboty; z drugiej strony starki opolskie mniej uderzają w larmo, że ich cera żalubiła się w jakimsi podciepie z tamtych krajów. Małżeństwa mieszane przestają być osobliwością: co raz więcej kremowych książeczek stanu cywilnego, gdzie młoda pani pisze się ze Strzelec czy Niemodlina, oblubieniec zaś spod Łomży lub Dębicy. Niestraszne jej też ostrzeżenie urzędnika, że gdy powije pięć osesków, musi się zgłosić po nowe blankiety. Wielorództwo należy nad Odrą do zakorzenionych od praczasu nawyków!

MOKOTÓW NA „SKUBACZKACH“

Spora wioska rozsiadła się o jakieś 10 km od miasta. Długaśna ulicówka, jak obyczaj odpiastowski nakazuje, ozdobiona prześlicznym, czekoladowym od starości kościółkiem. Same autochtony, małorolne biedarstwo przeważnie. Niemca nie uświadczyłeś tam chyba nigdy na wiosce. Jeśli bywał to we dworze, na którego miejscu siedzą dziś lotnicy nasi. Z początku obie strony patrzyły na się nieufnie, zbójem. Jeden z drugim coś tam mówił o „repolonizacji“, pannice nie pojmowały co im prawią. No, ale tańcówki, spacery, obchody zrobiły swoje. Spróbuj zagadnąć dziouchę, która przyszła do kina w spodziewaniu swego lotnika, szermuje doskonale powiedzonkami stołecznymi. Jedna już zaręczona, druga martwi się, że on ma już żonę w tyj Warszawie, trzecia w strachu, że finałem ekskursji całej będzie bąk za trzy kwartały! Ale penetracja wzajemna trwa: jak młodzież wsiowska powtarza kawały warszawskie czy lwowskie, tak chłopcy z Mokotowa dowiadują się, o czym była wczoraj mowa na jesiennym darciu pierza czyli tzw. „szkubaczkach“ i oto infernalny wątek o ognistych beczkach, dudniących o północy koło miejscowego świątka, wędruje z Przyodrza w głąb Polski.

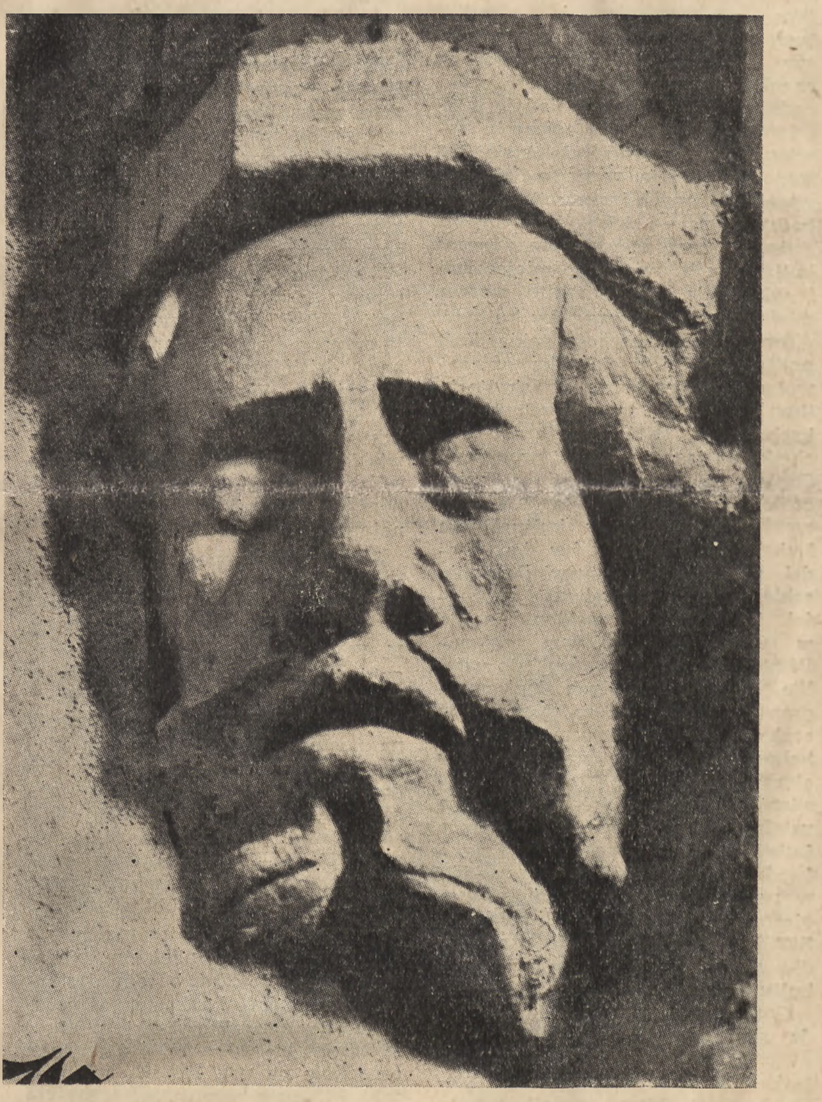
NICZEGO SIĘ NIE DOTKNA!

Uczono nas w szkole o pewnej wielkiej osobliwości polszczyzny, która jedyna w językach słowiańskich, zachowała do dziś samogłoski nosowe ą, ę. Zachowała je istotnie, lecz w jakim stanie? Pieron pieroński zapieronowany! Pokaleczone, uproszczone, zdeformowane. W pełnej, nieskażonej formie prawie ich nie uświadczysz. Chyba uczniak zapytany na lekcji gramatyki będzie przepisowo wykręcał językiem, chyba cudzoziemiec, zgłębiający sekrety ortofonii polskiej. Takim, pedantycznie wzorowym nosówkowaniem zadziwiał nas ongi świetny tłumacz, Francuz Paul Cazin.

Zwróćmy się z tym pytaniem do turnieju językowego ZO i posłuchajmy jak sobie poczyna wobec nosówek krtań chłopska, mało — lub średniorolna. Czy potrafi np. oddać poprawnie i dokładnie wyrażenie: *są*? Napewno nie potrafi i nikogo o to głowa nie zaboli, bo nosówka ma to do siebie (nie tylko w gwarach ludowych), że deformuje się najchętniej na końcu wyrazu. Gębusie na ZO powiedzą tedy rozmaicie. Jedni: *som*, drudzy: *sum*, inni po prostu lub po lwowsku: *so* czy też *soo*.

Ślązak o takiej dziwostworze nosowej nie słyszał nigdy. Nawet w świecie czarów. Dawne czarownice, wybierając się na sabat na Łysej Górze, smarowały się najpierw pod pachami mastyką z 9-

(Dokończenie na stronie 2)



Zwornik średniowieczny w kościele św. Mikołaja w Byczynie

HENRYK WORCELL

Koło Kłodzka kwitnie len

czyli: dzień pisarza

Tego roku, wczesną wiosną zasiałem len. Lato było wilgotne, len wybujał pięknie i jeszcze piękniej zakwitł, potem dostał mosiężne łepki nosienne, a łodyżki zżółkły. Wtedy zebrałem go z pola i odwiozłem do roszarni w Ołdrzychowicach.

Po odliczeniu tary (t. zn. wozu) okazało się, że cały mój plon z dwudziestu arów wynosi 9 q. Jak na pierwszy rok i przy braku doświadczenia w uprawie, plon nienajgorszy. Od wagi skierowano mnie ku wielkim stertom, które na terenach przyfabrycznych tworzyły coś w rodzaju miasteczka o piętrowych domach, spadzistych dachach i ścianach pozbawionych okien. Przede mną i za mną ciągnął się sznur wozów drabiniastych, wyładowanych lnem — ludzie z dalekich stron niecierpliwie czekali na swoją kolejkę — strażacy fabryczni ostrzegawczo wskazywali na tablicę z napisem: „Palenie surowo wzbronione!“

Przy stertach wrzała praca. Plantatorzy zrzucali snopki z wozów, a robotnicy fabryczni układali je budując istne gmachy. Widać było, że są zmęczeni — pracowali od rana do późnej nocy. W pewnej chwili usłyszałem jak kierownik roszarni, obywatel Sobieszczuk, skrzyczał jakiegoś chłopaka, który wczoraj miał lekcję śpiewu w chórze fabrycznym i godzinę wcześniej zeszedł z pracy. „Teraz nie ma śpiewu! — krzyczał do chłopaka — teraz są żniwa! Na śpiew będziesz miał czas w zimie!“ Rzeczywiście, miał rację, bo nie było tu czasu na śpiew. Jeżeli w ciągu dnia przyjechało 80 fur i do wieczora nie zdążono ich rozładować, wówczas zapalono światła i do późnej nocy fabryczni ludzie uwijali się przy stertach, chodziło bowiem o to, by żaden plantator nie wrócił ze swym plonem do domu, lub nie był zmuszony nocować w Ołdrzychowicach.

Późnym popołudniem doczekałem się wreszcie swojej kolejki. Jeden z klasyfikatorów okrążył moją furę, pogmerał ręką wśród snopków i orzekł: „druga klasa“. Zaprotestowałem: „niemożliwe! Taki ładny len... powinien dostać pierwszą klasę“. Klasyfikator spojrzał na mnie niechętnie, wyszarpnął ze snopka garść lnu i powiedział: „chodź pan ze mną“. Rzeczywiście, gdy porównałem mój len z szablonem, musiałem umilknąć i być zadowolonym, że otrzymałem klasę drugą. Byli jednak tacy, którzy nie chcieli wierzyć szablonom. Zaklinali się, że jeżeli nie otrzymają żądanej klasy, to odwiozą len z powrotem do domu. Byli chłopi, którzy przywozili sczerniałe, pokurczone, źle związane snopki i ku ogólnej wesołości zebranego narodu wmawiali wszystkim, że ich len jest najpiękniejszy z całej gminy. Były wreszcie kobiety, które błagały o przyznanie lepszej klasy powołując się na swoje wdowieństwo lub pokazując swoje umorusane dzieci.

Gdy wreszcie opróżniłem wóz, udałem się do biura rozliczeniowego. Tam za nasiona otrzymałem 11.000 zł, a za włókno kwit na materiał wartości 9600 zł, przy czym kierownik plantacji, ob. Szkaradek, oświadczył mi, że roszarnia zacznie wydawać materiał od połowy września, o czym zresztą każda wieś zostanie powiadomiona.

Gdy wychodziłem z biura, była już noc. W gmachach fabrycznych jarzyły się światła, maszyny huczały w przędzalni, od pobliskiej stacji kolejowej z głuchym warkotem jechały samochody wiozące nowy transport przędzy. A nieco dalej, tam gdzie lampy elektryczne rzucają światło na ogromne sterty lnu, ciągle jeszcze uwijali się ludzie, słychać było okrzyki, nawoływania, trzaskanie batów, turkot drabiniastych wozów — myślałby kto, że tam, wśród rzęsistych świateł, olbrzymich bud i cyrkowych namiotów odbywa się jakiś wielki, doroczny jarmark.

Z końcem października przyjechałem do roszarni po raz drugi. Przed południem brali materiał plantatorzy z Gorzanowa, po południu była kolej na naszą wieś, Skrzynkę. Przed bramą fabryczną stały furmanki i spora gromada ludzi, przeważnie kobiet. Zostawiłem żonę na wozie, a sam udałem się do kierownika roszarni, ob. Sobieszczuka. Zastałem go w biurze w chwili gdy załatwiał jakichś interesantów. Szczupły, nadzwyczaj ruchliwy, prędko się uporał z interesantami, polecił urzędniczkom coś przepisać na maszynie i z kolei zwrócił się ku mnie: „słucham?“ W chwilę później, gdy mu wytłumaczyłem, po co przyszedłem, zaczął mówić:

— Więc, proszę pana, len nie jest rośliną specjalnie wymagającą, udaje się prawie na każdej glebie. Musi jednak mieć dostateczną ilość wilgoci i starannie uprawianą rolę...

Słuchałem go z pewnym roztargnieniem, po pierwsze dlatego, że to co mówił było mi znane z podręczników agronomicznych, po wtóre, niepokoiła mnie myśl, że ja, jako reporter, powinienem był zadawać pytania, a nie bardzo wiedziałem, o co właściwie pytać. Jak należy uprawiać len? To może interesować tylko plantatorów, a każdy plantator dowie się o tym z pięknych i pomysłowo wykonanych broszur propagandowych, które w tysiącach egzemplarzy rozejdą się po terenie trzech powiatów: kłodzkiego, bystrzyckiego i ząbkowickiego. Co się dzieje z lnem w roszarni? W jaki sposób się go odziarnia, sortuje, moczy, międli, magazynuje? Trzeba by to zobaczyć na własne oczy, a dziś nie ma na to czasu. Kierownik Sobieszczuk opowiadał jednak tak szczegółowo i z takim zamiłowaniem, aż mi się to zaczęło podobać i w końcu więcej mnie interesował ten człowiek niżeli cały proces przeróbki lnu.

— Przepraszam — przerwałem mu — ale nich mi pan powie od kiedy jest pan kierownikiem tej roszarni?

— Od zeszłego roku. Przedtem nie było lnu, roszarnia stała bezczynna, fabryka zużywała stare zapasy, a poza tym sprowadzaliśmy włókno lniane na przędzę z Rosji i Belgii. I jeszcze teraz sprowadzamy.

— Po co? — zdziwiłem się — przecież wy tego surowca, co tam w stertach leży, nie zużyjecie w ciągu roku.

— Zużyjemy wszystko. A na przyszły rok jeszcze więcej. W tym roku zakontraktowaliśmy 500 hektarów, na przyszły rok planujemy 600. A ogólnopolski plan przewiduje 46.000 hektarów.

Jako rolnik powinienem był sobie uzmysłowić, co to jest 46.000 hektarów ziemi. Próbowałem nawet wyobrazić sobie ten ogromny obszar w formie prostokąta o szerokości 10 kilometrów, długości 46 kilometrów. Jak okiem sięgnąć, bezkresne łany lnu, rozfalowane, kwitnące niebiesko, zlewające się na horyzoncie z błękitem nieba. Przypuśćmy, cała dolina bystrzycka, jak szeroka i długa, od Międzylesia przy czeskiej granicy, aż gdzieś daleko za Kłodzko i Ząbkowice. Ale prawda. zapomniałem, że owe 46.000 ha zostaną obsiane na przestrzeni całej Polski — tu hektar, tam ćwierć hektara, tu kwadrat, tam trójkącik. Piękna to będzie mozaika, ale...

— Ale proszę mi powiedzieć, czy nie lepiej byłoby dla was, gdyby zamiast na drobnych działkach, uprawiano len na wielkich, dwudziestohektarowych polach?

— Oczywiście, że lepiej! Przede wszystkim gatunki lnu byłyby bardziej jednolite i mielibyśmy o wiele mniej kłopotu z sortowaniem. Po wtóre, dostawa do roszarni odbywałaby się znacznie sprawniej. Po trzecie, odpadłyby wszelkie zatargi z plantatorami. Pan wie, co się tu działo przy odstawie lnu? Każdy plantator był przekonany, że przywozi len pierwszej klasy. Na 2600 plantatorów zaledwie 64 dostarczyło pierwszą klasę, ale nie było takiego, który by się z nami nie targował, nie kłócił. I pan na pewno też.

— Pewnie, że tak — zaśmiałem się — dostałem drugą klasę, a koniecznie chciałem pierwszą.

— Otóż widzi pan, gdyby istniały spółdzielnie rolnicze, wtenczas nie zawieralibyśmy z rolnikami indywidualnych umów, tylko po prostu jedną umowę z całą gromadą i mielibyśmy z wami święty spokój. I z wydawaniem materiału także. O, słyszy pan? — uśmiechnął się znacząco i wskazał na drzwi wiodące do magazynu tekstylnego.

Istotnie, panował tam rejwach nieopisany, słychać było okrzyki, kłótnie. To plantatorzy z Gorzanowa, a raczej żony plantatorów, wybierały sobie materiał na suknie i bieliznę.

— Widzi pan — podjął znów kierownik — tak mamy codziennie od czasu jak materiał nadszedł i tak będzie trwało do 15 grudnia, aż ostatnia wieś materiał wybierze. A mamy 137 wsi! Niech pan sobie poświęci jeden dzień i postoi w magazynie, to pan wiele ciekawych rzeczy usłyszy.

— O, nie, dziękuję, wolę już sobie to wyobrazić. Ale z tego wszystkiego widzę, że nie trudno wam będzie zdobyć plantatorów na przyszły rok.

— Tak pan sądzi? — zapytał kierownik z tak szczerym zadowoleniem, jak gdyby to on sam był właścicielem roszarni.

— Ależ na pewno — pośpieszyłem z odpowiedzią — przecież mieszkam na wsi i wiem, co ludzie mówią o uprawie lnu. Przede wszystkim, wielka to wygoda, że pod len nie trzeba dawać obornika, można go siać w drugim, a nawet trzecim roku po oborniku. To bardzo zachecające dla nas, chłopów. Ale właściwie to najwięcej popierają uprawę lnu kobiety i dlatego niechże nas Bóg broni, żeby one wyłącznie decydowały o uprawie roślin przemysłowych.

— Rozumiem — przerwał mi kierownik — zacheca je materiał, barwne tkaniny zagwarantowane w umowie.

— Tak, w dużym stopniu, ale nie tylko to. Wie pan, kobiety lubią pracować koło lnu, plewić go, wyrywać kiedy już dojrzały. No i niech pan weźmie pod uwagę, że len kwitnie bardzo ładnie. Znam kobiety, które w tych drobnych, niebieskich kwiatuszkach, są wprost zakochane. Zresztą, co tu wiele mówić — w naszej wsi było tego roku 36 plantatorów lnu, a na przyszły rok zapowiada się ich pięćdziesięciu. I tak będzie w każdej wsi.

Gdy to mówiłem, kierownik Sobieszczuk uśmiechał się i żywo zacierał dłonie — doprawdy, miałem złudzenie, że siedzi przede mną prawdziwy kapitalista.

Naraz drzwi się otwarły, do kancelarii wszedł kierownik plantacji, ob. Szkaradek, który w tym okresie pełnił funkcję rozliczeniowego w magazynie tekstylnym.

— No — zawołał od progu — Gorzanów skończony, możemy zaczynać Skrzynkę.

W chwilę później znalazłem się razem z żoną i kilkoma kobietami w magazynie tekstylnym. Kobiety długo wpatrywały się w próbki materiałowe, dotykały ich naradzały się i wreszcie spośród czterdziestu gatunków tkanin decydowały się wziąć po kilka lub kilkanaście metrów tego lub owego materiału. Wówczas kierownik Szkaradek (który zresztą jest wcale sympatycznym człowiekiem) zapisywał wybrane materiały i obliczał, ile jeszcze pozostało plantatorce do wybrania. Kto miał kwit na 10.000 zł, ten mógł otrzymać ponad 80 metrów tańszego materiału, na ogół jednak ludzie brali droższe flanele i barchany lub tkaniny wełniane liczone po cenie komercyjnej 1600 zł za metr, które w wolnym handlu łatwo możnaby spieniężyć ze stuprocentowym zyskiem.

Podczas gdy magazynierzy odmierzali i cięli płótna, obliczyłem dochód, jaki osiągnąłem z uprawy 20 arów lnu, a potem, gdy się żegnałem z kierownikiem Szkaradkiem i opuszczałem magazyn dźwigając walizę z różnobarwną tkaniną, byłem zdecydowany zasiać na przyszły rok 50 arów lnu.

Zdaje mi się, że tym razem nie tylko z powodu niebieskich kwiatuszków. Henryk Worcell

WILHELM SZEWCZYK

Odezwa

Ludu, gdzie gwałt czynią, tam ręka do ręki lgnie,
gdzie sen jak wrona ucieka, tam kamień w garści
i uśmiech posłany wprzód.
Drwale przodem! Gdy padnie ostatni bór
i w piach wsiąknie krew lasu, miód ostatnich barci,
pójdziemy my, towarzysze łopaty, i bagier czujny jak pies
pogłębi ziemię, w którą pierwszą złożymy cegłę.

Dość śpiewki triumfatorskiej, nasza brzmi tak,
posłuchaj ludu,
ludu posłuchaj,
ludu.

NASZ ŚPIEW

Bory drżą i szeleszczą wrota fabryk i domów,
Głód wysysa szpik z kości lecz jeszcze pozostał bunt,
Ostatni kronikarze hańby, co cało uszli z progromu,
Zlepiamy hasło ze słów i zapalamy jak lont.

Uwaga! ramię szerzej młody rozpostrzyj człowieku,
Wszystko co prawda zganiła, znowu jest nasze i wielkie.
Odór powleka ciała z paszczy minionych wieków,
Ramiona u łopat zgięte, przywarte do tęgiej belki.

Uwaga! z nieczułej grani błękitu cieknie olej,
Kto jeszcze triumf ogłasza, ręką leniwą świecąc?
W dzień coraz bardziej jasny nasze wychodzą patrole,
Śpiących za włosy powloką, zdrajcom zaś ogień skrzeszą.

Karmazynowe świty przechodzą a my — sami
Przekląwszy triumf ospałych idziemy ciągle wprzód,
Młoda jest ręka co nie drży choć posiwiała pamięć,
Taką ręką kładziemy nowy w epokę płód.

JULIUSZ NOWAK-DŁUŻEWSKI

O politykę kulturalną ośrodków prowincjonalnych

Redaktor Kazimierz Wyka w artykule wstępnym, który poprzedza i syntetyzuje wyniki przedsięwziętej przez krakowską „Twórczość" ankiety w sprawie „geografii kulturalnej" Polski r. 1947/48 (zeszyt październikowy), stwierdził słusznie, że proces centralizacji kulturalnej Polski powojennej doprowadził już do objęcia przez Warszawę jej przodującej roli jako ośrodka dyspozycji kulturalnej w całej postawie. K. Wyka stwierdza równolegle z tym postępujący proces koncentrowania się w stolicy twórczych sił kulturalnych, a więc — obok centralizacji dyspozycyjnej — centralizację personalną. Aprobując pierwszy proces jako naturalny, godzi się z drugim jako nieuchronnym, choć niezupełnie pozytywnym. Narzeka również w swoim apercu general na brak „instytucjonalnego nasycenia kulturalnego" niektórych prowincjonalnych ośrodków kultury, jak Lublin, Kielce, a więc ziem Polski Centralnej, ziem starych, które w okresie powojennym były jakoby predestynowane do roli samodzielnych i twórczych ośrodków kulturalnych. Usiłuje oddzielić sprawę „instytucjonalnego nasycenia" kulturalnego ośrodków prowincjonalnych od sprawy personalnej obsady tych ośrodków. Ostatnie życzenie ma „niestety" charakter życzenia pobożnego. Powstanie właściwych ośrodków instytucjonalnych wiąże się mocno z posiadaniem właściwych ludzi, którzy by byli zdolni i chcieli tworzyć takie ośrodki, koło których skupiałyby się potem prace danego środowiska kulturalnego. Powstanie właściwego nasycenia instytucjonalnego jakiegoś ośrodka kulturalnego wymaga osób, obdarzonych nie tylko koniecznym talentem organizacyjnym, ale też i takich, które znają dogłębnie rolę, potrzeby i cele takich instytucji. Nie wyobrażam sobie twórczej pod tym względem roli najzdolniejszego nawet plastyka bez talentu organizacyjnego. Rezultat zawsze będzie mizerny. Gorzej jeszcze, kiedy się zjawi chętny „działacz społeczny", który zechce np. organizować bibliotekę czy jakiś instytut badawczy, będąc analfabetą w zakresie potrzeb tych instytucji kulturalnych. Rzecz ostatecznie sprowadza się do sprawy właściwych ludzi. Chcę stwierdzić — wbrew stanowisku Kazimierza Wyki, którego intencje doskonale rozumiem i oceniam — że *sprawa nasycenia instytucjonalnego danych ośrodków kulturalnych łączy się nierozerwalnie ze sprawą ich nasycenia personalnego.*

Jakże więc stąd wybrnąć, kiedy żyjemy w okresie niedosytu personalnego, kiedy brak jest ludzi do obsadzania koniecznych ośrodków kulturalnych, kiedy, jak sam K. Wyka stwierdza, Warszawa czy Kraków w coraz rosnącym tempie nabierają charakteru Mekki dla artystów, literatów i uczonych. Proces rozwijania namiotów w lokalnych ośrodkach przez twórczych kulturalnie ludzi i przeniesienie się ich z larami i penatami (jeżeli im się udało wynieść je cało z pożogi wojennej) do ośrodków centralnych trwa i trwać będzie dotąd, dopóki każdy człowiek nie wróci z emigracji wewnętrznej do swego dawnego miasta. Warszawianin do Warszawy, krakowianin do Krakowa. Powojenny napływowy element wcześniej czy później spłynie do swego środowiska, skoro się tylko stworzy dla niego odpowiednie nachylenie psychiczne czy materialne, sprzyjające połączeniu się jego z rezerwuarem macierzystym. Jest to proces naturalny i nieodwracalny. Chyba że... Chyba że lokalny ośrodek kulturalny zdoła stworzyć dla przybyszów (mowa wciąż o jednostkach kulturalnie twórczych) właściwą podstawę życiową: moralną i materialną. Moralną, aby przybysz zaczął się na prawdę czuć dobrze w obcym dla siebie środowisku, aby to środowisko stworzyło dla niego atmosferę znośnej symbiozy, dającej możność spokojnej i twórczej pracy. Materialną, aby mógł wyżyć, sam i z rodziną, na „obczyźnie" za swój trud. A wiemy z doświadczenia ludzkiego po wojnie, że w te dwa momenty, nie spełnione — w pojedynkę czy razem — przez powojenną rzeczywistość lokalnych ośrodków kultury, sprzyjają, jak sprzyjały, odpływowi ludzi do central naszego życia narodowego.

W ostatecznym rezultacie wymienionych procesów środowiska lokalne będą musiały, jak się zdaje, ograniczyć się z konieczności do gospodarowania na odcinku kultury materiałem ludzkim własnym, który wyszedł z własnego terenu, zrósł się z nim urodzeniem, tradycją i wychowaniem. Trzeba go wyszukiwać, wychowywać i wiązać na stałe z terenem, trzeba nim oszczędnie i rozumnie gospodarować.

Aby się to stało, aby się to ciągle działo — nie od razu sztuka, jeżeli chodzi o delikatne i długodystansowe procesy życia kulturalnego — musi być w lokalnych ośrodkach przynajmniej jedna osoba, zdolna w pełni do podejmowania inicjatywy w sprawach kultury, o szerokich horyzontach społecznych, rozumna, światła, taktowna i — co rzecz ważna — z charakterem. Taka osoba, która nie będzie pracować wedle martwych szablonów biurokratycznych, powinna być wyposażona przez centralny ośrodek dyspozycyjny we właściwą władzę, która by jej pozwoliła na stworzenie we własnym środowisku kulturalnym własnego ośrodka dyspozycyjnego w sprawach kultury. Praktycznie taka osoba powinna być związana w taki czy inny sposób z Wojewódzkim Wydziałem Kultury i Sztuki, jeżeli przyjmiemy, że ośrodek kulturalny pokrywa się kompetencyjnie z zakresem terytorialnym działania Woj. Wydziału.

Problem personalny jest zagadnieniem najważniejszym, bo od człowieka zaczyna się powodzenie czy niepowodzenie sprawy. Tak było i jest wszędzie i po wszystkie czasy. Na drugim dopiero miejscu kładę kwestię programu pracy. Są to przecie truizmy, ale warto je tutaj przypomnieć, bo wielu ludziom nawet i dzisiaj zdaje się, że samo wytyczenie toru pracy wystarcza całkowicie do jej skuteczności.

Program pracy kulturalnej, polityki kulturalnej czy jak to inaczej nazwiemy! Tutaj, moim zdaniem, trzeba się zdecydować na wypracowanie takiej polityki ośrodków prowincjonalnych — oczywiście pod auspicjami centralnych ośrodków dyspozycyjnych — która będzie mogła stworzyć szereg samodzielnie istniejcych, samodzielnie twórczych ośrodków lokalnych, czerpiących do swej pracy materiał z własnej przeszłości kulturalnej, pomnażających go własną intensywną pracą i udostępniających go we własnej, przez siebie wypracowanej formie masom konsumentów kultury. Będzie to rozwiązanie treści kultury i celu jej przeznaczenia, którym jest człowiek pracy. Oczywistą jest rzeczą, że lokalnych ośrodków twórczej pracy kulturalnej powinno być tyle, ile znajdujemy na mapie Polski tradycyjnie twórczych ośrodków prowincjonalnych. Nie więcej, bo zawiśniemy taktycznie w powietrzu. Nie mniej, bo nie wolno nam ubożyć naszej pozytywnej tradycji kulturalnej, nie bardzo znów tak obfitej. Nie wyobrażam sobie, aby można było w inny sposób wypracować program pracy kulturalnej w poszczególnych naszych ośrodkach lokalnych, program konkretny i realny, uzupełniany w miarę potrzeb i konieczności treścią kulturalną w skali ogólnopolskiej. Ale to zawsze stosownie do potrzeb danego terenu, jego każdorazowo innych właściwości na terenie Polski, bo każdorazowo inaczej uwarunkowanych innymi lokalnymi procesami historycznymi: politycznymi, socjalnymi, kulturalnymi i gospodarczymi, innymi wreszcie przyrodniczymi warunkami bytowania danego zbiorowiska ludzkiego przez dłuższy okres czasu.

Oczywistą jest rzeczą, że przy takim postawieniu sprawy: 1) tyle musi powstać programów polityki kulturalnej, ile mamy tradycyjnie twórczych naszych ośrodków lokalnych, 2) każdy program musi mieć oblicze odrębne, indywidualne, niepowtarzalne, 3) wypracowanie takich programów jest rzeczą trudną, bo wymaga dobrej znajomości własnego terenu, jego przeszłości kulturalnej i potrzeb dzisiejszych, znajomości tradycyjnego zaplecza i stopnia oraz rodzaju chłonności dzisiejszego frontu konsumentów kultury, świata pracy. Takie postępowanie w planowaniu kultury wydaje mi się jedynie właściwe, bo jest organiczne: jest to modus procedendi naturalis. Inny modus procedendi jest sztuczny, abstrakcyjny, tchnie martwotą. I w tym wypadku wypływa na powierzchnię całego zagadnienia sprawa personalna. Taki program może stworzyć tylko istotnie twórcza jednostka o kwalifikacjach, które już określiłem wyżej, pomnożonych o rzecz niebagatelną: głęboką wiedzę o własnym terenie kulturalnym. Tak jak istnieje wiedza o Polsce, istnieje czy istnieć powinna wiedza o Mazurach, Lubelszczyźnie i t. d., świadomie wyzyskiwana przez „urząd planowania kulturalnego" w lokalnych ośrodkach kultury. Nie ma miejsca na mechaniczne, biurokratyczne uniformizowanie akcji kulturalnej. Praca kulturalna wedle tego planu „nie jest", ale zawsze „staje się" procesem zindywidualizowanym, a więc twórczym.

Przypominają mi się w tej chwili rozważania Henryka Jabłońskiego, niedawno czytane, na temat roli centralnej naszej instytucji naukowej, jaką jest Polska Akademia Umiejętności oraz roli naukowo-badawczej instytucji lokalnych, jakimi są rozsiane po całej Polsce Towarzystwa Naukowe. H. Jabłoński przydzielił zupełnie słusznie lokalkom rolę instytucji, poświęcających się badaniu własnych ośrodków kulturalnych. Wynikałoby z tego rozumowania, że ośrodki, twórcze kulturalnie w przeszłości czy specjalnie ciekawe dzisiaj w aspekcie humanistycznym czy przyrodniczym, które nie posiadają właściwych instytucji badawczych, powinny je powoływać do życia. To samo, oczywiście, powinno dotyczyć wszelkich innych instytucji — pozabadawczych —, które miałyby za zadanie rozpracowywanie spraw kulturalnych w skali miejscowej i udzielanie ich szerokim masom miejscowych konsumentów kultury.

Świadomość słuszności takiej linii polityki kulturalnej, jaką zarysowałem w koniecznych skrótach, tkwi jednak w terenowych ośrodkach pracy, choć nigdzie nie dochodzi do jasnej precyzji programu. Czytam oto w ankiecie „Twórczości" w sprawozdaniu z Lubelszczyzny „o rozwoju kulturalnym Lubelszczyzny ..., który doprowadzi na pewno do uświadomienia sobie własnych, odrębnych właściwości, jednakże bez zasklepienia się w ciasnym, źle pojętym regionaliźmie". Sprawozdawczyni nie ustaliła, niestety, ściślych logicznych granic między tym, co stanowiłoby cechy odrębne i dopuszczalne Lubelszczyzny, a tym, co tworzyłoby ciasny regionalizm. Treść sprawozdania nie uczy o jakimś celowym ustalaniu i ukazywaniu na terenie Lubelskiego jej wartości własnych i odrębnych. Są nikłe tego ślady w pracy uczniów Liceum Pedagogicznego i oddziału lubelskiego ZZLP. Lubelszczyzna nie stworzyła dla siebie wyraźnej linii polityki kulturalnej.

Gorszy pod tym względem stan da się odnaleźć w sprawozdaniu z „regionu świętokrzyskiego", to jest, ściślej mówiąc, regionu kieleckiego (snobizm zrodził termin pierwszy, a bezwład utrzymuje go wbrew rzeczywistości przy życiu). Początek sprawozdania mówi o wynikach pracy kulturalnej na tym terenie przed okresem sprawozdawczym 1947/48. Praca ta, jak się okazuje, pojęta była w duchu „tradycji muzealnej, pragnącej bez obniżenia poziomu ukazać walory twórczej przeszłości". Jest to krytyka tego, co było dotychczas. Bliżej jeszcze precyzuje się dotychczasowe osiągnięcia, gdzie się krytykuje „popularyzację kultury, która jako wytwór intelektualny, oparty na treściach abstrakcyjnych i tradycjonalnych, staje się ciężka dla percepcji mas, a nawet świat inteligencki spogląda na nią jako na rozrywkę od święta, poddając się pod wpływem snobizmu budzeniu estetycznych emocji". Oczywiste nieporozumienie natury logicznej, wynikające z braku dostatecznego przemyślenia przez sprawozdawcę podstaw wiedzy o istocie tradycyjnego przekazu kulturalnego. Treści tradycyjne, „muzealne", jak chce autor, zawierające „walory twórczej przeszłości", są z natury rzeczy obce treściom abstrakcyjnym, bo są konkretami, wiążącymi się niemal że zmysłowo z danym terenem, bo wynikają z realnej wielowiekowej pracy ludzi realnych, tworzących dzieje danego ośrodka. Tradycja i abstrakcja to pojęcia właśnie heterogeniczne, a nie homogeniczne, jak chce autor. Wartości tradycji, które obumarły, nie zasługują, aby je konserwować nawet w sposób muzealny, a jej wartości żywe, to jest pozytywne, na zawsze pozostaną składnikami nowego, tworzącego się życia. Enuncjacje Wł. Sokorskiego na temat stosunku rzeczywistości dzisiejszej do tradycji polskiej zdołały rozwiać uprzedzenia wielu ludzi, w których tkwili od r. 1945. Okazuje się, że jeszcze nie wszędzie. Niezupełnie sprecyzowany język pojęć, którym się posługuje sprawozdawca lubelski, przechodzi w sprawozdaniu kieleckim w język jeszcze więcej mętny. Nie rozumiem, dlaczego percepcji mas miałaby się sprzeciwiać konkretna treść tradycyjna, wśród której te masy wzrastały i którą w dodatku współtworzyły. Mówi o tym przykład ceramiki iłżeckiej, o której rozkwicie dzisiejszym wspomina u siebie sprawozdawca, rozkwicie, który byłby nie do pomyślenia bez wielkiej historycznej tradycji ceramiki iłżeckiej na terenie Kieleczyzny. Nie wiem również, jaki to świat inteligencki ma na myśli autor sprawozdania, który to świat na podawaną mu treść tradycyjną patrzy jak na zabawkę. Bridżowy? — tak, restauracyjny? — owszem, plotkarsko-kawiarniany? — zgoda i na to. Inny — nie. Wiemy o tym dobrze. Nie wiem, jak sobie autor wyobraża konkretne prace kulturalne „przez tworzenie ośrodków promieniowania twórczego po wsiach i w skupiskach robotniczych". Niejasno wygląda powiedzenie, że „ciężar gatunkowy problemu leży w pracy organizacyjnej oświatowo-kulturalnej". Dla mnie to wszystko wygląda na przedwojenną „radosną twórczość", na organizowanie mgławicy. Przede wszystkim trzeba mieć przed sobą bardzo konkretną treść materialną tego, co się chce organizować, a potem dopiero myśleć o jej organizowaniu. Nie można mieć zaufania do sprawozdania, które zawiera takie niesprawdzone empirycznie uogólnienia i osądy. W każdym razie świadczy, że na terenie Kielc brak jest również linii polityki kulturalnej. Nie ratują sytuacji ślady wiązania organicznego dzisiejszej pracy kulturalnej z tym, co dała tradycja. Są one w kształcie wspomnianego renesansu ceramiki, co może być zjawiskiem autonomicznym, samorodnym, są w formie niektórych odczytów kieleckiego Uniw. Regionalnego.

Jestem przekonany, że ciemne plamy, które w wyniku studium sprawozdań odnajduje na naszej mapie kulturalnej roku 1947/48 K. Wyka, wynikają po prostu z zagubienia czy nieodnalezienia właściwej linii polityki kulturalnej przez te ośrodki, które reprezentują na naszej mapie owe ciemne plamy, a raczej pustki. Wymieniono dwa ośrodki o bardzo bogatej przeszłości kulturalnej, a słabej dziś aktywności. „Rzecz niepokojąca — pisze Wyka — że należą tutaj właśnie tereny Polski rdzennej, takie miasta, jak Kielce, Lublin."

Dlatego właśnie zatrzymałem się na sprawozdaniu lubelskim, zwłaszcza zaś kieleckim, bo one dostarczają najwięcej konkretnego materiału do charakterystyki polityki kulturalnej, wybranej dla tych ośrodków na rok 1947/48, tej polityki, która nie wyrastając organicznie z naturalnych potrzeb i zainteresowań lokalnych, z konieczności musi mieć cechy abstrakcyjne i martwe. Polityka taka, a właściwie mówiąc, jej brak — już dała ujemne rezultaty w okresie ubiegłym i nie da innych w latach przyszłych. O ile się nie zmieni w sposobie planowania kultury, puste czy ciemne plamy na mapie kulturalnej Polski, dostrzeżone przez Wykę, nie znikną z zafiksowanych już miejsc w przyszłości.

Juliusz Nowak-Dłużewski.

Czy Wrocław leży nad Pełtwią

Dokończenie ze str. 1

ciorakich o nowiu zbieranych ziół, po czym dosiadały okrakiem ożoga i wyfruwały przez otwarte okno, powtarzając następujące czarsłowa: FIK Z OKNA, NICZEGO SIE NIE DOTKNA!

Podpatrzył czarownicę śląską pachołek furmański, przybysz z innych stron. Próbując ją naśladować, rzekł jednak: nie dotkne. Znarowiony ożóg przeprawił go za to o bolesne guzy i cięgi w czasie lotu borem lasem na niskim pułapie. Opowiadają dotąd tę historię na jesiennych skubaczkach pierza.

I nie widzi mi się, aby krtanie ludowe urodzone nad Odrą miały się kiedyś przyzwyczaić do nosowania. To pagatel niegodny uwagi! Przeca sami tak „ękać" nie poradzą a mnie każą. Nie byd*a*, nie chc*a*, skuli tego, bo nie umi*a*!

MÓWI BRZEG

Znalazłszy się niedawno w Brzegu, byłem pewny, że znajdę w miejscowym muzeum pod dachem wspaniałego zamku piastowskiego dowody staropolskiej, zawziętej wprost produkcji książkotwórczej. Na parę dobrych setek liczą bibliografowie brzeski dorobek drukarski. Nic podobnego! Jakiś jeden z nowszych czasów kancjonał pokazano mi, gdy głównie nęciła mnie publikacja, której daremnie szukał Estreicher: z inicjatywy energicznej Sybilli, ostatniej księżny na Brzegu i Legnicy, wydana w r. *1625* „Prosta Rada dla Niewiast Ciężarnych". Ale Brzeg nawet nie wiedział o jej istnieniu. Mimo to wycieczka udała się. Znalazłem w witrynie muzealnej dwie odwieczne kafelki z pieca z polskimi napisami. Na jednej napis: GDZIE OJCIEC Z MATKĄ — TAM DZIECIOM GŁADKO. — Na drugim sentencja z ciekawym reliktem dawnych, ludowych sądów gajonych: PRZYSZLIŚMA DO WAS PANIE WÓJCIE TYLKO NAS DOBRZE ROZSĄDŹCIE.

Gdy usiłowałem pewnej lwowiance objaśnić znaczenie tego zabytku śląskiej staropolszczyzny, odpaliła:

— Kafel to kafel. Cóż mi z niego, kiedy ja się dziś ze Ślązakami dogadać nie mogę!

JESZCZYK CZAS NA ÓRKĘ

Krótkie wakacje tegoroczne spędzałem wśród starych dobrych druhów z Wielkopolski o kilkadziesiąt kilometrów od Kołobrzegu. Ludzie z nad Warty czy Noteci do wyżycia się i zadowolonego oddechu muszą mieć płaską rozstrzeń, jak na Kujawach czy Pałukach. Unikają falistych wądołów, te tam „górki — dółki" to na nic. Cywilizacja powinna je przekopać, wyrównać. Dlatego kołowali długo już w r. 1945, grymasząc nie tyle nad jakością gleby, u nich też nieświetnej, nie tyle szukając dorodnych zabudowań gospodarskich, ile wypatrując równomiernej rzeźby terenu. Głód ziemi, zagnawszy tych bezrolnych, „pod panem" pracujących ciężko biedniaków, zmusił do pozostania wreszcie wśród obmierzłych górek — dołek, na borowinie w okolicach Połczyna-Zdroju.

Przeludnienia na odzyskanym Pomorzu nie znać. W okręgu kilkudziesięciu hektarów osiadło wygodnie kilkanaście małorolnych rodzin. Przywędrowało to skąd Bóg dał. Trzy czy cztery familie fornalskie spod Wronek poznańskich, pięć lub sześć od Zbaraża, Tarnopola, jedna i druga z okolic Włocławka i Łodzi, miasta Łodzi, jak się dawniej mówiło.

Jest niedzielne popołudnie i to w tygodniu lżejszego już wysiłku. Krescencja pod dachem, orka ledwie napoczęta, kartofle dochodzą. Takie niedzielne zbiegowisko młodzieży i starych może się zmienić w turniej mowy rozmaitej, w ciekawą wieżę Babel, start odległych dialektów naszych. Bardzo byłem tego ciekaw, widząc okazji dość. Do wielkopolskiej dziewuchy smalił niezręcznie cholewki Ślązak ze... Zbaraża, a znów pannica wychowana gdzieś na Bałutach łódzkich, daremnie usiłowała nieporadnej prawnuczce Rzepichy odbić smagłego i dorodnego czarnoziemca.

I tu spotkał mnie zawód. Oczekiwałem, że te zewsząd przybyłe języki wezmą się ze sobą za łby, czyli poczną gadać każdy po swojemu, popisując się osobliwościami swej wymowy i znaczenni. Oni tymczasem sadzili się wzajemnie na jak najbardziej wyszukany, literacki język. I pilnie unikali swych właściwości regionalnych, o ile zdołali uświadomić je sobie. Żeby się nie narazić na prześmiewki i docinki sąsiadów. Moi gospodarze wysilali się, aby jak najstaranniej odbarwić, oczyścić, uinteligentnić swą gwarę domową. Niesłuszny kompleks niższości działał.

Ambitna matka strofowała dzieci i męża, by się wyzbyli pewnego, korzeniami w ziemię orłów gnieźnieńskich wrosłego powiedzonka.

— Miazga jedna! Nic gadać nie rozumi, inoby ciągiem powtarzała: *uue tam! uue tam!* Selera psiaduszna gada z Józkiem po jakiemu! Poruta istna. Nie mów sł*u*ńce, nie mów kor*u*na, bo to nieładnie, zaraz spoznają, żeś ty nie gospodarska córka.

Teraz ja popełniłem gaffę oczywistą, rzucając w gwar rozmów zapytanie:

— Jakże będzie w tym roku z pyrami? Pomoc sąsiedzka już u was działa?

— Kartofle? — poprawiła skwapliwie. — Jeszczyk czas na wykopki. Trzebno nam skończyć kole szosy órkę.

Popisała się tymi obcymi jej do niedawna kartoflami, by się odprzysiądz zaswojonych w ojczyźnie jej pyrek, które Tarnopol, Włocławek czy Łódź wyśmiewa na potęgę. Po czym dalej i ostro wychowywała swą pociechę.

— Z takim gadaniem idźta na Dębińską Bramę, gdzie diabeł młode ma, nie między ludzi. Żebyś mi się, głupico, nie ważyła chodzić na szago, ani krzak nazywać kierzkiem, porzeczki — „świętojankami", bratki „macoszkami", bo uni z tego tylko śmieją się i nas nie poważają.

Znamienna i mało celowa zarazem jest taka katarsis językowa, z wysiłkiem dokonywana. Wzruszy nad nią ramionami fachowiec, nie da się zwieść nikt choć trochę ucha dla tych spraw mający. Raczej żałował będzie, że usiłują tu wylać dziecko z kąpielą, czyli zubożyć swe słownictwo o garść znamiennych wyrażeń. Czasem ofiarą padają określenia piękne, stare, złoto-polskie. Te kierzki i zdziebka, stanowią herbowny urok mowy potocznej wielkolpolskiej, inne tak głęboko rozsiadły się w regionie, że szkoda z nimi walczyć.

Nauka o języku zna trzy główne cechy rozpoznawcze gwary wielkopolskiej: języczkowe *r*, przydechowe *th* i *ph*, wąskie *e*. Moja gospodyni tępiąca zawzięcie tylko wyrażeńka, które mogą razić reprezentantów innych gwar, nigdy o nich nie słyszała i nie usłyszy. I nawet nie trzeba, aby słyszała. Niechże dalej „wyinteligentnia" swój zasób wyrażeń potocznych i niech się podciąga, jak umie, do poziomu języka literackiego.

To jednak pewne, że w tym otoczeniu korzyść mogą odnieść przybysze zza Bugu i Sanu. Gdy wyjeżdżałem, Józek spod Zbaraża zdołał już przejąć od swej bogdanki wiele brzmień i znaczeń, zaswojonych nad Wartą i Notecią. Cieszył się nimi, powtarzał jak papuga. Mówił wolniej, przyswajał sobie nowe pojęcia i określenia. Uzupełniał się w dziedzinie języka. To dobry wpływ wychowawczy.

KTO ZWYCIĘŻY?

Ślązacy są głęboko, podświadomie przekonani, że napewno oni. Zwyciężali wszakże w dziedzinie mowy zawsze; wiedzą jak się to robi. Dawali w ciągu stuleci radę wszystkim dobierającym się do ich substancji językowej. Zjedli ongi Gołężyców, połknęli Dziadoszan i innych groźnych współplemieńców, uzgodnili się z Czechami. Ale przede wszystkim ostali się i wygrali walkę z wrogiem śmiertelnym. Niemce nie dali nam rady, a dziś mieliby nas połknąć Zasańce i Zabużany? Którzy są równie święcie przekonani, że ich będzie nad Odrą zwycięstwo.

Ani Poznań ani Kraków, nierychliwi sędziwcy, do startu nie staną, szanse białych bezgwarowców z jednej, a rodaków Mickiewicza i Orzeszkowej z drugiej strony są minimalne. Wszyscy jednak biorą udział w powolnym tworzeniu narzecza Ziem Odzyskanych. Kto zwycięży? Wyrok zapadnie w następnym pokoleniu.

Kajetan Stopa

JAN PIERZCHAŁA

W przeczuwaniu kołyski

1

Przyśnił się, przyśnił,
drobny mak.
Śniły się także młode wróble
i taki rzeżki, dziewiczy wiatr,
który nikomu jeszcze nie uległ.
Noc więcej blada niż o świcie
chustkami owinęła plecy.
Pewnie kto rano znowu przyjdzie
stanąć pomiędzy małe rzeczy.

Listy daremne wartko płyną.
Październik w kalendarzu chrzęści.
Żeby to człowiek był duchem świętym,
to by zrozumiał co zegar...
W tych sprawach zegar
wie najwięcej.

2

Woda płynie za górą.
Za wodą szumi las.
O siostro, idziesz nieskoro
tęsknotę w wodę kłaść.

— Przyszła i płacze nad sobą —
Któż ci to panno odmówił?
Nie płacz. Gołąb nad tobą
bielutkie piórko zgubił.

Popłaczesz jeszcze jutro.
Patrz tu. Co, nie widzisz?
Pierwsze puchowe piórko
na piernat do kołyski.

Wypłaczesz jeszcze jutro
duszę i modre oczy.
No bierzże, bo się piórko
do wody stoczy.

Wrocław 1948

Z naszego notatnika



Rembrandta Scena Narodzenia to realistyczny szkic, gdzie wydarzenia boskie przeniesione zostały w osobliwe milieu, którego opisu podjąć mógłby się sam Maksym Gorki

Z twórczości Vlastimila Hofmana



Vlastimil Hofman: Madonna



Vlastimil Hofman: Ostatnia strzała



Vlastimil Hofman: Próba z Turoniem

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

Pożegnanie z Ziemiami Odzyskanymi

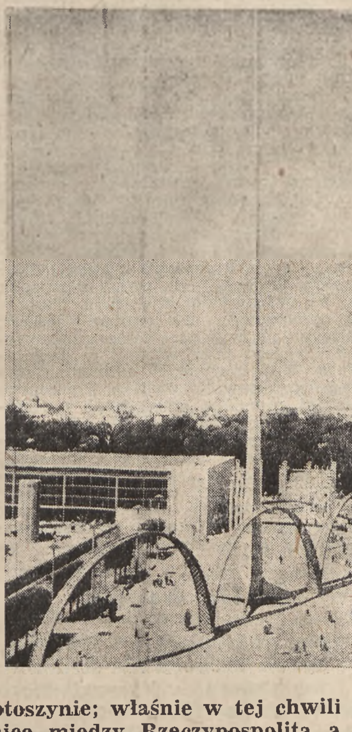


W tych dniach ukazała się na półkach księgarskich nowa książka Kazimierza Koźniewskiego, wydana nakładem Wydawnictwa Zachodniego pt. „Żywioły". Jest to zbiór reportaży z ziem Odzyskanych, który stanowi pierwszą część większej zamierzonej pracy, której następna część pt. „Chleb", mówiąca o odbudowie Warszawy i ziem centralnych ukaże się wkrótce w druku. Poniższy artykuł jest wstępem do nowej książki

Fot. H. Makarewicz

Noc. Jednostajne potykanie wagonu na spoidłach szyn i leciutki szmer wiatru wdzierającego się przez półotwarte okna. Ciemno. Tułów siedzącego instynktownie wyszukuje pozycje coraz to bardziej nieprawdopodobne, opiera się o jednego lub drugiego sąsiada, byle skrócić sobie godziny jazdy jakimkolwiek snem. Pasażerowie razem zamknięci w klatce przedziału zmęczeni są wrażeniami dnia minionego. Ogromem miasta, obszarem wystawy, przepychem i jakością rzeczy, oglądania godnych. Zmęczeni są tym podziwem, jakiemu nie można się było oprzeć chłonąc rozmach samej wystawy, a jeszcze bardziej wielkość i żywiołowość tej pracy dokonanej, której sale i eksponaty są świadectwami.

Pociąg pędzi z Wrocławia do Warszawy. Fosforyzujące wskazówki zegarka założonego na ręku sąsiada wskazują wpół do dwunastej. Przed trzydziestoma minutami ruszyliśmy z Grabowna Wielkiego, za kwadrans będziemy w Krotoszynie; właśnie w tej chwili przejeżdżamy zapewne dawną granicę między Rzeczypospolitą a Rzeszą Hitlerowską. Ostatnie minuty doby oznaczonej w kalendarzu jako 31 sierpień i akurat przed dziewięciu laty gdzieś tutaj niedaleko szykowały się do wczesnorannego uderzenia oddziały piechoty i broni pancernej. Nikt z żołnierzy nie sądził zapewne, że jest on ostatnim, który stąd rusza przeciw Polsce, że jest on może w ogóle ostatnim niemieckim żołnierzem, który atakuje Polskę; że jest on właśnie jednym z tych, których historia może w przyszłości uznać za grabarzy imperium bismarkowskiego.



Pożegnanie z Ziemiami Odzyskanymi zostawia nam w pamięci wysoką iglicę, widzianą wyraźnie jako zobowiązanie i symbol z rusztowań nowej Warszawy

Dziewięć lat — ponad pięć wściekłego wysiłku wojennego i ponad trzy zaciętej, iście gigantycznej pracy, by przywróconym ziemiom odzyskać ich dawną polskość i restaurować pełną siłę gospodarczą wojną zgruchotaną niemal na miazgę.

Pasażerowie siedzący obok zmęczeni są Wystawą Wrocławską. Ja zmęczony jestem całymi Ziemiami Zachodnimi. Wielomiesięczną wędrówką — ich rozmachem odbudowy, ich owocnym trudem polonizacji ich powikłanym problemem ludzkim, — zmęczony próbą wystawienia tym wielkim osiągnięciom skromnego, reporterskiego świadectwa. Zmęczony jestem „Żywiołami". Wraz z Wystawą praca nad nimi dobiegła kresu, nie tylko dlatego, że pod grubym maszynopisem wystukałem słowo „KONIEC", ale głównie dlatego, że Wystawa sama była takim wielkim słowem „KONIEC" ustawionym pod Ziemiami Odzyskanymi, a oznaczającym, że ziemie te zostały już całkowicie spolonizowane i zagospodarowane, że całkowicie zostały przyswojone Rzeczypospolitej, że przestały być odrębną jej częścią, a stały się już normalnymi prowincjami rozległego kraju. Pas ziemi właśnie mijany pośpiesznym pociągiem już nie oznacza granicy, żadnej granicy — ani politycznej, ani narodowej, ani geograficznej, ani też granicy problemów wewnętrzno-państwowych. To cieszy. To poczucie pozwala szukać coraz wygodniejszego miejsca do drzemki.

I wtedy właśnie wpadł w ucho szept rozmowy rozpoczętej w kącie przedziału między dwoma mężczyznami o twarzach zasłoniętych ciemnością.

— ...chmara małych postaci w jednej z Kopuł. Cztery miliony. To się łatwo mówi, ale to cztery Warszawy z roku 1944 przeniesione wraz z dobytkiem i planowo rozmieszczone. Tego zagadnienia nie miał po wojnie żaden inny kraj w Europie, ha! może nawet w świecie.

— To nie jest jednak zagadnienie tylko cyfr ludzi osadzonych czy odbudowanych obiektów fabrycznych lub wydobytych ton węgla...

— ...ale cyfr przede wszystkim...

— ...nie. Przede wszystkim tego, że dokonane to zostało przez organizm państwowy o chorym sercu, chorym gospodarczo i chorym psychicznie. Chodzi o Warszawę. Wysiłek prac dokonanych na Ziemiach Zachodnich nabiera dopiero wtedy pełnego wyrazu, dopiero wtedy staje przed każdym w swej gigantycznej wielkości, gdy się go oceni z perspektywy ruin Warszawy. Gdy się uwzględni fakt, iż organizowali go ludzie w znakomitej większości pozbawieni mieszkań i domów, ludzie nie mający często zmiany bielizny, a z reguły dysponujący jednym ubraniem i jedną parą butów. Nie jest łatwo dyrygować państwem, gdy biura rozrzucone są w kilku miastach, gdy koleje jeżdżą bardzo powoli, gdy dworzec centralny w stolicy nie ma należytej sprawności działania. Gdy — jednym słowem — serce tłoczące krew w cały organizm samo jest niemal śmiertelnie chore i wymaga gwałtownej kuracji...

Pociąg zahamował gwałtownie. Krotoszyn. Pierwsza stacja na ziemiach już — tak brzydko zwanych — centralnych. Za oknem rozgorzał hałas stacyjny, szept nieznajomego został zagłuszony, ludzie przepychali się korytarzem, nawzajem sobie urągając.

Myślałem nad słowami towarzysza podróży. Były one dla mnie tym bardziej interesujące, żem rok wcześniej na łamach popularnego tygodnika skrytykował fakt zbierania ofiar na odbudowę Warszawy wśród mieszkańców zniszczonych Ziem Odzyskanych. A oto przypadkowy sąsiad odkrywa ciekawą i istotną zależność między dwoma osiągnięciami i rzeczywistą wielkość wysiłku odbudowy Ziem Zachodnich właściwie ściśle uzależnia od faktu zburzenia stolicy, od tego, że rząd kierujący odbudową ogromnej połaci kraju urzęduje w mieście, które samo wymaga odbudowy. Może w tym wypadku grosz złożony w zdruzgotanych Strzelcach Opolskich na odbudowę dalekiej stolicy wróci się kiedyś kredytami na odbudowę Strzelec?



Z niedalekiej przeszłości Warszawiaków. Scena popowstaniowa. Dziś stoją oni w pracy nad odbudową stolicy

Pociąg ruszył w dalszą drogę. Hałas stacyjny opadł. Cisza nocna pozwoliła wyłowić uchem dalszy ciąg rozmowy, jaka toczyła się widać czas cały:

— ...odbudowa i repolonizacja Ziem Zachodnich — to nie była rzecz wolnego wyboru. Tu był żywioł. Dwudziestoparomilionowy naród nie był w stanie w żadnym razie zmieścić się między Bugiem a starą granicą zachodnią. Musiał runąć na zachód A zjawiwszy się tam— już minęliśmy granicę Śląska i Poznańskiego — musiał chcąc żyć polonizować i odbudowywać. Był wielki wysiłek, który normalnie powinien starczyć jednemu pokoleniu jako zadanie naczelne i bodaj jedyne. Natomiast rezultatem swobodnej decyzji było ogłoszenie Warszawy stolicą — mimo wszystko, gdyż mógł nią zostać przecież Poznań, Łódź, Kraków. Było to więc dobrowolne wzięcie na siebie, na nasze pokolenie, jeszcze jednego zadania: odbudowy zniszczonego milionowego miasta. Zadania, które w normalnych czasach też powinno starczyć jednemu pokoleniu...

— Warszawa została przywrócona życiu. Jest znowu największym miastem w kraju. Znowu jest stolicą z wszelkimi konsekwencjami tego faktu: gospodarczymi, kulturalnymi, administracyjnymi, nawet — choć to najsłabiej — mieszkaniowymi. I teraz po trzech i pół latach możemy urządzić nie tylko jedną imponującą WZO, w obrazie której nie ma przesady, ale moglibyśmy skonstruować drugą wystawę relacjonującą odbudowę Warszawy. I bez koloryzowania — byłaby ona imponująca!

— Wystawą taką jest już sama Warszawa. Nie trzeba lepszej.

— Tak właściwie jedno i to samo pokolenie dźwiga na sobie dwa ogromne zadania gospodarcze i organizacyjne.

— Inni dziś w Europie nie mogą podołać nawet jednemu. Rozmawiałem z członkiem delegacji brytyjskiej*), tym wiesz... (tutaj nie dosłyszałem nazwiska!)... chodząc po Wrocławiu podziwiał prężność naszej odbudowy. Widział Warszawę już przedtem i twierdzi, że wysiłek tych zadań wykonanych przez nasz naród nie ma w sobie równego w całej Europie, łącznie z Anglią. A przecież żaden kraj nie miał problemu przesunięcia się państwa i ludności o tak potężny obszar. Ale powiedział też, że równoczesne pokonywanie takich dwóch zadań jest tylko dlatego możliwe, gdyż istnieje u nas współdziałanie między masami narodu a władzą, która dzięki temu współdziałaniu i zaufaniu mas jest silna, gdyż nie zżera się u nas społeczeństwo wewnętrznie we wzajemnych walkach. Społeczeństwo chcące sprostać tym zadaniom musi być kierowane rozumnie, musi być przygotowane na przyjęcie wielkich zobowiązań natury politycznej i gospodarczej.

— Społeczeństwo nasze wie, czego chce. Najpierw trzeba jeść, żyć normalnie — potem można filozofować. My musimy najpierw



Ruiny Warszawy bezpośrednio po powstaniu (zdjęcie ze źródeł niemieckich)

myśleć o odbudowaniu naszej bazy materialnej. O wyrównaniu zapóźnienia gospodarczego. I tutaj posiadanie takiego rządu jaki mamy a którego wyniki w odbudowie gospodarczej są nie do zakłamania jest dla nas szansą jakiej walor oceni pewnie historia bardzo wysoko.

Nieznajomy mówił coraz ciszej i ciszej. Był widać zmordowany dniem. Wreszcie przestał szeptać. Jego towarzysz nic przerwał ciszy.



Z popowstaniowych wędrówek warszawskich

Zasnęli widać. Zaczynałem drzemać i ja. Coraz mniej myśląc o Wrocławiu, o wysiłku odbudowy, o świecie całym...

Raptem wstrząsnąłem się cały. Ktoś mnie pchał. Otworzyłem oczy. Był jasny dzień. Pociąg skakał po zwrotnicach dziesiątków torów dworca warszawskiego. Na prawo Ochota, na lewo Wola łyskały w słońcu dachami swych odbudowanych domów. Dymy snuły się z kominów fabrycznch. Kikuty ruin na przemian ze ścianami pokrytymi oślepiająco białym nowym tynkiem wyznaczały miarę tego miasta . Rozejrzałem się po pasażerach. W kącie, skąd nocą dobiegał mądry szept, siedziały jakieś dwie panusie. Widać tamci wysiedli gdzieś po drodze.

Ludzie już zbierali się do wyścia. A mnie od nowa zaczęła po głowie chodzić nocna rozmowa. To zdanie, że wysiłek odbudowy odzyskanych Ziem Zachodnich można w całej pełni docenić tylko biorąc pod uwagę, że dokonany został przez państwo o chorym sercu, przez naród, który równocześnie musiał pokonywać gigantyczne zadanie odbudowy z gruzów własnej, milionowej, stolicy.

Pociąg stanął przy wygodnym, wysokim, nowym peronie przyjazdowym.

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

*) Akurat zakończył się we Wrocławiu Międzynarodowy Kongres Intelektualistów w obronie pokoju.

STANISŁAW BROSZKIEWICZ

Budowa linii tramwajowej w Wałbrzychu

Trudno przemknąć, by nie być trafiony światłem
błękitnym i nerwowym, niecącym ekrany w ciemni.
Ekipa Nr 3: zadanie niełatwe
budowa nowych szyn,
po których tramwaje zatętnią.

Mgła podeszła do góry — niebo milknie...
ludzie szafirowieją w blasku, ludzie rozstawieni na milę...
Palnik zawarczy jak pies — człowiek odmierzy i przytnie
i fantastyczną feerią rozszumi się acetylen.

Dzwonią młoty i czerwień kluje z lamp ostrzegawczych...
Chodźmy! Wzdłuż szyn, na których bezsilny rozłożył się księżyc
stoją ludzie, stoją i patrzą...

My dostaniemy tramwaje, błękitni ludzie — pieniądze.

JAN BARANOWICZ

WIKTORA DEKLINACJA WIEJSKA

Przypominam sobie drobny szczegół z konspiracyjnej roboty kulturalnej na wsi w cierpkich latach okupacji. Aktywista-ludowiec, prosty chłop, zbierał książki po domach dla skompletowania tajnej biblioteki. Któregoś dnia odwiedził mnie w tej kweście. Miałem przygarść książek, gromadzonych raczej przypadkowo, kupowanych za skromne oszczędności. Byli tam i Sienkiewicz i Reymont, Orkan i Kruczkowski. Było pare tomów Wallasa, Londona i Kraszewskiego. Działacz prześlizgnął się spojrzeniem po grzbietach dzieł, stojących na półkach i wybrał spośród nich dwie książki Wiktora: — „Orkę na ugorze" i „Błogosławiony chleb ziemi czarnej". Broniłem się pazurami, żeby ich nie stracić z kompletu. Wywody, że wieś potrzebuje i zrozumienie tej potrzeby odniosły nade mną zwycięstwo. Wypożyczyłem, wiedząc że słowo to oznacza rozstanie się z nimi na zawsze.

Oczywiście — jak trafnie przewidziałem — nie powróciły już nigdy do mej biblioteki. Dało mi to moralne prawo do interesowania się dalszym ich losem. Obawiałem się trochę czy nie drzemią bezużytecznie gdzieś w szafie czy kuferku ludowca.

Nie drzemały. Wędrowały z rąk do rąk, z domu do domu. Rozpalały płomienie dyskusji, pasjonowały. Odrobiły rzetelną służbę w podziemnej akcji oświatowej na okupowanej wsi.

Przypomina mi się teraz ów drobiazg z niedalekiej przeszłości, gdy, siedząc przy zacisznym biurku, wertuję z zaciekawieniem najnowszą powieść Wiktora o wsi. Przyznaję — trochę mi dziwno, że o pisarzu, którego książki w ciężkich dniach wojny budowały społecznie wieś, tak mało pisze się ostatnio w prasie. Dziwno mi tym bardziej, że głośno o nim np. w bratniej Czechosłowacji, gdzie jego książki ukazują się w wielotysięcznych nakładach. Powieść „Orka na ugorze" wyszła w tłumaczeniu słowackim i drukuje się od roku w odcinkach komunistycznego dziennika dla wsi. Niedługo ukaże się po raz drugi w popularnym wydaniu w ilości 20.000 ogzemplarzy. „Skrzydlaty mnich" ukazał się po czesku i słowacku nakładem firm najpoważniejszych.

Na polskim rynku księgarskim ukazało się dotąd po wojnie pięć pozycji literackich Wiktora. Reportaż społeczny „Ożywcze krynice" w dwóch bezpośrednio po sobie następujących wydaniach, „Skrzydlaty mnich" — pienińska powieść-legenda o zakonniku konstruktorze szybowca i druga powieść z życia wsi — „Zbuntowany". Z wznowień: „Orka na ugorze" i „Wierzby nad Sekwaną".

Do „Zbuntowanego" zbierał autor — jak sam wyznaje — materiały przez długie lata i po całym kraju. Problemem książki jest walka o moralne wartości w człowieku. Ścierają się tu ze sobą dwa światy — jeden stary, zasofany, ugrzęzły w nałogach i zabobonach, skostniały w scholastycyźmie, reprezentowany przez większość wsi i jej proboszcza i drugi młody, postępowy, upostaciowany w garstce budowniczych społecznej „diabelskiej kuźni", niepokaźny jak ostrów na szerokim jeziorze, niemniej pełny dynamiki. Do niego chyba należy główny bohater powieści wikary Bielawa, choć ów przyszłość i wielkość wsi widzi mistyczniej — w budowaniu serc ludzkich nie gmachów. Proboszcz uosabia dlań kontynuatora wyzysku, chciwego kułaka, dbałego więcej o krowy, niźli o parafian i nie różniącego się też od nich etycznie. W tym stawianiu wyżej „pospolitego dobra" nad dobro społeczne, formy nad treść widzi Bielawa przyczynę zakłamania i nędzy. Doskonałym wychowankiem tej szkoły jest gospodarz Owsiak — faryzeusz, rozpustnik, tyran domowy. W scenie rozwodowej na plebanii tak Owsiak wyłuszcza swe credo życiowe:

Żebym bił jak inne chłopy bez upamiętania to nigdy. I w pracy i w pacierzu i w biciu trza mieć zastanowienie i myśl boską.

Bielawa ogarnia źródła zła, dlatego przeciwstawia się, buntuje. Buntuje się przeciw klerowi, wsi, przeciw umownej interpretacji ewangelii. Tu rodzi się dramat jego życia. Widzi drogę do przebudowy, ale po drodze tej stąpa w tragicznym osamotnieniu. Zło jest ogromne, zalewa jak powódź, dusi jak zimna mgła gruźlika. Za bunt przeciw wygodnictwu i formalistyce prześladują go kościelne władze, rzucają nim jak piłką z parafii do parafii. Kto wie — może przypłaci Bielanami to wyłamywanie się spod sztywnej straży feretronów, te próby tchnienia nowego życia w ześwietczoną religijną doktrynę.



Reformatorskie wysiłki Bielawy uzna proboszcz dopiero po swej śmierci w testamencie, jednak nie oddali od niego osamotnienia: —

„...Bielawa biegł ku gromadom, zebranym pod domem. Tylu znajomych. Chciał krzyczeć w uniesieniu.

— Jestem z wami! Pozostanę na zawsze.

Powitały go głuche, nieufne spojrzenia.

...stał z ręką, wyciągniętą do bratniego uścisku. Palce drżały. Dłoń zawisła w pustce, rozprzestrzenionej na cały świat, na całe życie...

Spod miedzy wytrysnął skowronek i opodal unosił się ponad sprawami ludzkimi, przemijającymi w codziennym trudzie... Chmury przemijały a ptak spełniający swą powinność, wciąż wzywał, wciąż daremnie trzepotał, rzucając nikły cień na pola, zalane słońcem.

Szary okruch, przeistoczony w pieśń, zagubioną na wysokościach...

Książka Wiktora, pierwsza bodaj w literaturze polskiej, bierze jako temat problem tak nowy i drastyczny, problem księdza zbuntowanego przeciw kościelnictwu i płyciźnie religijnej. Rozdziały jej są pełne realizmu, wzięte żywcem z rzeczywistości wiejskiej, że wymienię tylko dla przykładu walkę rodziny o spadek po zmarłym plebanie. Podobnie żywą jest postać głównego bohatera powieści Bielawy. Iluż takich społeczników, piętnowanych suspenzą, pomijanych przy awansach przez kurię, błąka się po szerokich biskupich księstwach diecezyj.

Może nuży nieco w książce pewien patos. I niekiedy lekka nienaturalność w dialogach, szczególnie tych, włożonych w usta chłopów.

Czwarte wydanie popularnych „Wierzb nad Sekwaną" ma nawet posmak aktualności. Pewne sceny powtarzają się dziś tak samo jak powtarzały się przed kilkunastu czy kilkudziesięciu laty. Strajki w kopalniach węgla, urastające już do przysłowia, brutalność francuskiego żandarma, brutalność, podkreślona ostatnio tak mocno w Hoffmeisterowskiej satyrze. Tragiczne dzieje chłopaka i dziewczyny wiejskiej, którzy płynęli po szczęście do farm i fabryk Francji a zabrnęli w palącą nędzę paryskiej ulicy i więzienia. Powieść pełna współczującego bólu dla spotyranego człowieka. Orkanowe, głębokie znawstwo duszy chłopa i jego głodu ziemi.

Na okręcie „milczącemu chłopinie widziane morze jawiło się jako olbrzymia niwa, pobróżdżona daremnymi, bo nie zasianymi skibami.

— Ileżby to było morgów!. Żeby to tak w naszych garściach, Boże Jedyny!

Powiedział ktoś kiedyś na jednym z uniwersytetów ludowych, że chłopskie rozdziały twórczości Reymonta to malowanki jarmarczne. Określenie mgliste, może nawet krzywdzące wielkiego pisarza. Zdaje mi się jednak, że rozumiem, co młody słuchacz ULu miał na myśli. Reymontowi wieś jawiła się przede wszystkim jako temat. Bawił się nią, opisywał, malował kolorami słów. Spoglądał na nią jakby z oddalenia, więcej jej znajdywał w swej wyobraźni, niż w rzeczywistości. Wiktora nie urzekła fikcja. Temat opiera mocno na gruncie realnym: analizując dusze, szuka wytłumaczenia wielu zjawisk w niesprawiedliwości ustrojowej.

Pozytywną cechą twórczości Wiktora, poświęconej wsi, jest wyzwolenie się z „problematyki pańszczyźnianej", modnej przed wojną i dzisiaj jeszcze u niektórych pisarzy. Podkreśliła ten moment jedna z recenzentek, nie pamiętam już w którym numerze „Twórczości". Cytuję tak charakterystyczne dla pisarza zdania wyjęte z jego „Orki na ugorze".

„Pańszczyzna to noc. Od nocy trzeba odejść w nowy dzień. Musimy naprzód iść, bośmy za długo stali na miejscu. Daleka nasza droga. Od pługa — w świat."

Budowniczowie nowego jutra wsi to chłopscy synowie z „Błogosławionego chleba ziemi czarnej", działacze z „Ożywczych krynic", nauczycielka z „Orki na ugorze", spółdzielcy i Bielawa ze „Zbuntowanego".

Są pisarze, których dzieła osiągają z tych czy innych przyczyn szczyt powodzenia, aby po pewnym czasie przygasnąć, zginąć w zapomnieniu. Książki Wiktora czyta miasto i wieś z niesłabnącym zainteresowaniem, mimo że oficjalna krytyka jakoś nie zauważa jego ostatnich wydań. Jednym z dowodów jego aktualności jest choćby włączenie „Orki" do 10 książek żelaznego repertuaru dla świetlic.

Ilekroć czytam Wiktora przychodzi mi na myśl Bernanos. W swym chrześcijańskim światopoglądzie, w swej niezależności spojrzenia na rzeczy i sprawy ludzkie, w swej bezkompromisowej walce ze złem, w jakiejkolwiek ono pojawia się postaci — ma Wiktor wiele cech wspólnych z tym wielkim pisarzem.

Jest może nazbyt pesymistyczny w tym wyznaczaniu dobru szczupłej grzędy w przeciwieństwie do rozwielmożnionego zła, które rozlewa się jak morze aż gdzieś po ledwo widoczny płot horyzontu. Zdrowy moralnie Jędrzej Połaniec jedzie po chleb do Francji i stacza się na dno upadku. Józka Kowalonka niesie wierną dziewczęcą miłość w ślad za nim, aby ją zgubić w poniewolnej rozwiązłości. Bielawa jest prawie samotny w swej walce. Młodzi ludowcy przy budowie społecznego domu zaledwie marginesowi. Nasuwa się pytanie czy nad mętną wodą Sekwany nie rosły obok wierzb krzepkie słowiańskie dęby? Czy na oceanie głupcty, przesądów, deptania prawd i zasad nie znalazł się korab z dziesięciu biblijnymi sprawiedliwymi?

Mimo tego — może zbyt cieniowego tonu omawianych książek, mimo przygnębiającej trochę niewiary w zwycięstwo rzeczy pięknych i dobrych, przedstawia się Wiktor czytelnikowi jako konsekwentność, jako pewnego rodzaju jedność, zbudowana z talentu i charakteru. Pisarstwo nie kłóci się w nim z człowieczeństwem. Nie ulega modzie, nakazom, tendencjom takim czy innym. Jest straszliwie rzetelny nawet za cenę osamotnienia. Ta mu stwarza mocną pozycję we współczesnej literaturze polskiej, co stanowi gwarancję nieprzemijalności jego książek.

JAN BARANOWICZ

Mickiewiczowi w hołdzie obcy poeci

JAROSLAV VRCHLICKY

MICKIEWICZ

Do morza, w którym fale wieki niosą,
w mroki, gdzie walki ludzkie nieustałe,
by mogło powstać piękno bliższe losu,
Bóg wrzucił wielką granitową skałę.

I chmura, która ku wschodowi płynie,
i kometa roniąca swe włosy zrudziałe
w pętach staną wylękłe w wieczności godzinie
i głowy ich porzucą tytaniczną chwałę.

A skała wieki przepłynie w twardości
w głębi jej wnętrza złoto szczerolśniące,
ochotnie żeglarz wpłynie na jej wody.

Bowiem przeciwko morzu zła, ciemności
jej brzegi ostre w przyszłość sterujące
obudzą w sercu pragnienie swobody.

*

LUDWIK UHLAND

MICKIEWICZ

Na dalekich Wisły brzegach
Huczy w grzmotach ciężki bój,
Echo jego się rozlega
Dalej niż stoi kraj mój.
Miecz i kosa, dźwiękiem tnącym,
Do uszu naszych wtargnęła
I słowa pieśni walczącej:
„Jeszcze Polska nie zginęła!"

My słuchamy w ciszy stale,
Spokój tu panuje wkrąg,
Tylko gnuśne huczą fale
I niema jest oddal łąk;
Tylko, gdy ginących jęki
W podmuch wiatru odgłos spłynie,
Słychać głuche smutku dźwięki:
„Polska, Polska oto ginie!"

Wśród smutnego święta ciszy
Poruszona struna gra.
Ach, jak ona się kołysze,
Coraz silniej lutnia ta!
Życie, tworząc duchy młode,
Zmarłe budzi znów do dzieła;
Dla mnie Wieszcza pieśń dowodem:
Jeszcze Polska nie zginęła.

Przełożył: Jan Koprowski

Bjarnat Krawc



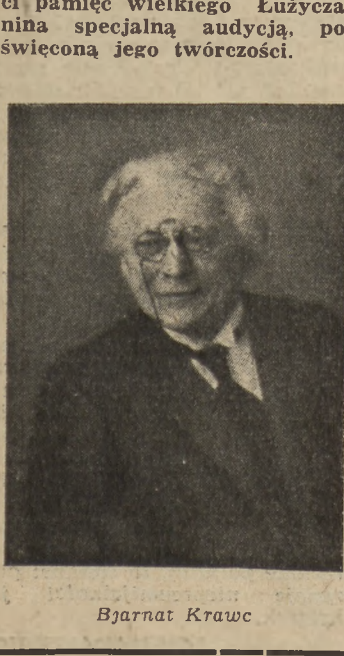
Bjarnat Krawc jako student budziszyński (1878)

(wisz) **Rzadkie wieści dochodzą z Łużyc. Polska prasa literacka nie przedrukowała nawet pięknego wiersza Miny Witkojc, poświęconego oddziałom wojsk radzieckich, który w znamienny sposób manifestuje radość łużycką z odzyskanych praw. Wśród wiadomości, jakie przyniosły agencje informacyjne, znalazła się drobna wzmianka o śmierci największego Łużyczanina współczesnej doby, Bjarnata Krawca, kompozytora i muzykologa.**

Urodzony 5 lutego 1861 w miejscowości Jitro pod Kamieńcem w saskiej części Łużyc zmarł na terenie Czechosłowacji przeżywszy lat 87. Większą część swego pracowitego życia spędził w Dreźnie, gdzie odwiedzali go wszyscy przejeżdżający przez Drezno polscy, czescy i jugosłowiańscy artyści i muzycy. Tu w Dreźnie, zakładając towarzystwo łużyckie Hlahol, stał się gorliwym organizatorem życia słowiańskiego, skupiając wokół grupy Łużyczan także i członków innych narodów słowiańskich, zamieszkałych w mieście. Krawc jest twórcą łużyckiej muzyki symfonicznej, przy czym wymienić trzeba tu takie, znane także po części w Polsce utwory jak Przi Lubace, Na Miklawsku, Wodniczkow reja, Wuznace, Na woporniszcu, Sceny sokolskie, Sokolske Prezpolo. Widząc, że w skromnych warunkach muzycznych Łużyc jego wielkie kompozycje symfoniczne mogą się nie doczekać wykonania, opracowuje narodowe pieśni na kwartety smyczkowe lub zamyka je w inne skromniejsze formy. Na Łużycach i w Czechosłowacji ceni się zwłaszcza jego Bożonarodzeniowe oratorium i kantatę Syrotka. Choć był wyznania ewangelickiego napisał wielką mszę Missa solemnis F-moll op. 79. Na użytek ludu napisał mszę z tekstem łużyckim, zakończoną tonami hymnu narodowego łużyckiego. Z tej dziedziny jego twórczości wymienić trzeba też Łużyckie Ojcze nasz na mezzosopran, chór i organy, op. 83 z roku 1933, Angelus Dei descendit i Ecce sacerdos magnus. Dla ewangelików wydał kancjonał łużycki. Jako muzykolog opublikował w zagrzebskim piśmie „Sweta Cecilija" rzecz o hymnologii łużyckiej, zaś w „Maticy Serbskej" drukował swe uwagi o muzyce współczesnej i dawnej (m. in. Słowian Połabskich), oparte o pilne studia archiwalne. W latach 1926—29 wydawał łużyckie czasopismo muzyczne „Szkowronczek". W okresie wojny napisał oratorium „Wojna i pokój" do słów Michała Nawki. Wykonane ono zostało prawdziwie w Czechosłowacji. Oratorium to stanowi najlepszy muzyczny manifest jego żarliwego patriotyzmu. W czasie nalotu alianckiego na Drezno poszedł z dymem cały jego dobytek, wszystkie rękopisy, biblioteka, wspomnienia i listy. Po wojnie osiadł w Czechosłowacji jako gość społeczeństwa czeskiego.

Przed dwoma laty umarła jego żona Alma, syn jego dr Juliusz Krawc jest profesorem wydziału medycznego uniwersytetu w Los Angeles, córka Hanka Krawc znana jest jako wybitna malarka, głównie na terenie Czechosłowacji, gdzie uzyskała tytuł malarza akademickiego, ale wystawiała także w Paryżu, zajmowała się tańcem łużyckim, druga córka Ruth jest śpiewaczką znaną z terenu Niemiec, Czechosłowacji, Polski, Jugosławii, gdzie wykonywała główne pieśni ojca.

Z Polską łączyły Bjarnata Krawca serdeczne stosunki. Bywał u nas, miał tu wielu przyjaciół, zwłaszcza w Poznaniu, korespondował z wielu wybitnymi Polakami. Spodziewamy się, że zwłaszcza Polskie Radio, które przed wojną nieraz wykonywało jego utwory, uczci pamięć wielkiego Łużyczanina specjalną audycją, poświęconą jego twórczości.



Bjarnat Krawc

ZDZISŁAW HIEROWSKI

W perspektywie lat trzydziestu

Notatki o współczesnej literaturze czeskiej i słowackiej

W literaturach czeskiej i słowackiej mimo potężnego działania wstrząsu wojennego nie zaszły jeszcze istotne i głębokie zmiany, które pozwalałyby na traktowanie tych kilku lat po drugiej wojnie światowej jako okresu całkowicie odrębnego od dwudziestolecia międzywojennego. W swym głównym trzonie pisarskim obydwie literatury są w dużej mierze dalszym ciągiem tego rozwoju, który zaznaczył się za Pierwszej Republiki. Rzecz prosta jednak, że ten ciąg dalszy ma swoje charakterystyczne cechy i nie oparł się przemianom, przede wszystkim przemianom eliminującym pewne zjawiska natury światopoglądowej, filozoficznej oraz artystycznej. Przemiany te osłabiły nurt jednych kierunków literackich, wzmocniły natomiast i zdynamizowały kierunki inne, przedtem już istniejące, ale nie osiągające jeszcze pozycji dominujących.

Mówmy konkretnie: dziś, zwłaszcza od lutego 1948, literatura czeska i słowacka stoi w ogniu walki teoretycznej o realizm socjalistyczny. Sytuacja podobna jak u nas. W Czechosłowacji jednak istnieje już pewna tradycja literatury socjalistycznej zarówno w poezji jak w prozie, sięgająca pierwszych lat odzyskanej w roku 1918 wolności. Tradycję tę tworzy silna poezja proletariacka, skoncentrowana wokół postaci Jerzego Wolkera i razem z jego przedwczesnym zgonem zamierająca, tworzy ją powieść przede wszystkim Ivana Olbrachta przez takie książki jak „Zakratowane zwierciadło" czy „Anna proletariuszka", powieść Marii Majerovej przez „Najpiękniejszy świat", „Zaporę" i „Syrenę", powieść Marii Pujmanovej przez „Ludzie na rozstaju", w literaturze słowackiej tworzy ją rozwijająca się od lat dwudziestu twórczość powieściopisarza Piotra Jilemnickiego, by wymienić tylko nazwiska i tytuły najważniejsze nie pomijając z poezji jeszcze dojrzałej twórczości Józefa Hory i Stanisława Kostki Neumanna. Zapominać przy tym nie należy, że rozwojowi kierunku towarzyszy życiowe stanowisko największego autorytetu krytycznego tych czasów, zmarłego w roku 1937 Franciszka Ksawerego Szaldy, że kierunek ten ma swoich wybitnych teoretyków i pionierów w osobach Bedrzicha Vaclavka i Juliusza Fuczika, że wspiera go swoją działalnością krytyczną i publicystyczną Zdeniek Nejedly.

Linia poezji

Skoro mówimy o pewnych międzywojennych tradycjach dzisiejszej literatury czeskiej i słowackiej, rzeczą istotną jest spojrzenie, jak się te tradycje kształtowały i rozwijały.

Niepodległość, otwarzająca życiu narodowemu nowe perspektywy i nowe, pełne już możliwości, sprawiła, że i życie literackie Czechosłowacji nabrało od razu rozmachu, zwielokrotniło się i wzbogaciło. Z literatury spadł wprawdzie obowiązek ciągłej czujności narodowej, walki o podtrzymanie ducha i niepodległość, ale przyszedł **obowiązek nowy — podjęcie zmagań o strukturę ideową i porządek społeczny wskrzeszonego państwa.** Rosnący w siły od końca XIX wieku rewolucyjny ruch mas proletariackich pod wpływem zwycięstwa socjalizmu rosyjskiego przybrał zdecydowaną postawę skrystalizowanej już siły politycznej i związał ze sobą ideowo liczebną grupę zarówno wybitnych jak i początkujących pisarzy. Od tej pory datuje się duża liczebność czeskiej lewicy literackiej, skupiającej zawsze w swych szeregach wiele reprezentacyjnych dla życia literackiego postaci. Ta grupa sprawia, że dominantą pierwszych lat czeskiej literatury niepodległej są tendencje rewolucyjne, że powstaje cały kierunek literacki określany przez historyków i krytyków mianem **„poezji proletariackiej".**

W ogóle w okresie międzywojennym zarówno w literaturze czeskiej jak i słowackiej poezja, a zwłaszcza liryka, zajmuje pozycję czołową, wykazuje poważniejsze i trwalsze zdobycze artystyczne niż inne gatunki literackie i na jej rozwoju najlepiej jest śledzić przemiany tej literatury w granicach dwudziestolecia.



Karol Czapek, ur. 9. 1. 1890, zm. 25. 12. 1938

Okres poezji proletariackiej, mającej swój odpowiednik na Słowacji w grupie skupionej wokół czasopisma literackiego „Dav" (Tłum), gdzie najwybitniejsze indywidualności reprezentowali Laco Novomesky i Jan Poniczan, nie trwał długo. Nie tylko śmierć Wolkera w r. 1924 zaważyła na jej losach. [illegible] Poetyzm to kierunek, który u nas otrzymałby nazwę „czystej poezji", to zerwanie z wszelką tendencją, z bojowością i torowaniem nowych dróg, ze służbą ideałom społecznym, to kult czystego wzruszenia lirycznego. Stąd krok już tylko do swobodnej, niczym nie skrępowanej, olśniewającej nieprawdopodobnymi niespodziankami gry fantazji w poezji surrealistycznej. Spokojnie i bez manifestacji przeszedł od poezji społecznej do poezji czystej mistrza młodej generacji poetów proletariackich Józef Hora, manifestacyjnie uczynił to Jarosław Seifert. Ten krok, który dzielił czystą poezję od surrealizmu, uczynił Vitezslav Nezval, stając się głównym i najwybitniejszym przedstawicielem nowego kierunku.

Pod wpływem pogłębiającego się światowego kryzysu gospodarczego i narastającego kryzysu politycznego w Europie w poezji czeskiej następują przemiany które przynoszą w rezultacie lirykę wyraźnie odmienioną, wzbogaconą dotychczasowymi eksperymentami formalnymi, ale zupełnie inną w swej atmosferze wewnętrznej. Poezja czeska nabiera akcentów tragicznych, jest poezją cierpienia i śmierci, my byśmy powiedzieli — jest **poezją katastroficzną**. Na czoło nowego kierunku wysunął się mistrz skondensowanej i zwartej formy poetyckiej Franciszek Halas, w jego duchu pisali tacy poeci jak tegoroczny laureat nagrody państwowej Vladimir Holan, Wilhelm Zavada, Jan Zahradniczek, Franciszek Hrubin. Równocześnie jednak pojawia się nowe pokolenie poetów rewolucyjnych, których twórczość stanowi dalszy, ale wyraźnie nowy etap poezji proletariackiej z pierwszych lat niepodległości. Grupa ta, obejmująca m. in. takich poetów jak Franciszek Nechvatal i Jan Noha, ważna jest ze względu na swój dalszy rozwój poprzez wojnę i po roku 1945, kiedy to zaczęła rosnąć w siłę dopływem nowych sił i dezercją starszych poetów spod innych znaków.

Rzecz zrozumiała, że tak wykreślona linia międzywojenna poezji czeskiej jest uproszczona do najważniejszego schematu. Całości obrazu dopełnia tu przecież jeszcze mistrzowska liryka refleksyjna Karola Tomana, nieregularna w swym przebiegu, bogata twórczość Neumanna czy Mahena, witalistyczna, wywierająca silny wpływ na pierwsze niepodległe pokolenie poetyckie poezja Frani Szramka i zbliżonego do niego Piotra Krziczki. Nie można też odmówić znaczenia grupie utalentowanych poetów katolickich z Jarosławem Durychem i Janem Zahradniczkiem na czele, którzy nawiązując do wielkiej poezji Otokara Brzeziny zwracają się także ku katolickiemu barokowi czeskiemu z okresu po Białej Górze, by najsilniej ulec wpływom młodej katolickiej poezji francuskiej. Nie można też pominąć tradycjonalistycznej poezji życia wsi, reprezentowanej najlepiej przez Jana Czarka a mającej związek z silną grupą prozaików określanych nazwą ruralistów.

W literaturze słowackiej również dominująca w okresie międzywojennym poezja pojawiła się dopiero po kilku latach powojennej ciszy i skoncentrowała się w trzech najważniejszych grupach poetyckich. Pierwsza z nich określana jest jako postsymboliści ze względu na związki z poezją poprzedniego, przedwojennego pokolenia. Jest tu grupa ideowo zróżnicowana, gdyż ze względu na charakter formalny swojej poezji zaliczani są tutaj częściowo i poeci proletariaccy, jak Novomesky, Poniczan czy Franio Kral, i najwybitniejszy pisarz tego okresu, [illegible] form wyrazu i ogromnym zasięgiem swojej tematyki. Dla nas poezja ta o tyle jest może mniej atrakcyjna, że zasilała się ona u tych samych, co i nasza, źródeł, przede wszystkim francuskich, że jej inspiracje literackie są u nas dobrze znane. Niemniej jednak przy tak silnym rozkwicie wytworzyła ona i wartości własne, których lekceważyć nie możemy.

Drogi prozy

Nie przesadzajmy z powszechnie stosowanym przez krytyków czeskich poszerzaniem dystansu pomiędzy prozą czeską a poezją na korzyść tej ostatniej. W wypadku literatury słowackiej sprawa jest prostsza. Powieściowa proza słowacka po r. 1918 nie zaszła daleko tkwiąc dosyć silnie w formach tradycyjnych, niemal ludowych i z trudem je przezwyciężając. Proza czeska te same zahamowania i opory zwalczyła znacznie szybciej i skuteczniej. Przetrzymawszy po r. 1918 okres kilkuletniego zastoju ruszyła szybko naprzód i zaczęła wyrównywać się z wyprzedzającą ją dynamiką rozwojową liryką.

Na ten dokonany w warunkach niepodległości mocny start prozy czeskiej złożyło się wspólne choć bynajmniej nie jednolite dzieło trzech mniej lub więcej wyraźnych ugrupowań literackich, do których krytyka czeska stosuje podział na generacje. W podziale tym trzeba pominąć grupę najstarszą, stojącą u schyłku twórczości choć dającą jeszcze dzieła dużej wartości, grupę Szaldy, zmarłej u progu tego okresu Bożeny Beneszovej, Frani Szramka, schodzącego w cień razem z zanikiem powieści historycznej Alojzego Jiraska i kilku innych jeszcze pisarzy wywodzących się z wieku XIX, mimo że wpływ niektórych z nich jeszcze nadal działał. W ramach tego podziału mieści się natomiast t. zw. generacja przedwojenna, występująca na widownię w początkach XX stulecia a dojrzewająca w czasie wojny i bezpośrednio po niej, następnie generacja tak zw. wojenna, debiutująca około 1914 lub nieco później, zwana także generacją Czapków, oraz trzecie pokolenie, powojenne, wchodzące dopiero po r. 1918 w życie literackie, przy czym silniejsza fala debiutów pojawia się tu w latach 1924 — 1925.

Podział ten w zastosowaniu do tak krótkiej perspektywy czasowej jest zanadto historyczno-literacki i znów upraszczający. Ale i to dzielenie pisarzy według dat debiutów ma swoje dalsze uzasadnienia. Przede wszystkim uzasadnieniem tym są istotne różnice postawy filozoficznej i artystycznej rysujące się pomiędzy rówieśną niemal generacją pierwszą Olbrachta i Majerovej a pokoleniem Czapków. Wyraźne natomiast powiązania ideowe zachodzą pomiędzy grupą najstarsza i najmłodszą. Ta ostatnia jest mocno zróżnicowana ale w swym głównym trzonie okaże się kontynuatorką i reformatorką reprezentowanej przez pokolenie przedwojenne powieści społecznej. **Kierunek literacki ukształtowany przez Czapków stanowi zjawisko literackie dla Pierwszej Republiki reprezentacyjne.**

Związany jest on najsilniej z tym prądem ideologicznym i politycznym, który uformował strukturę niepodległego państwa Czechów i Słowaków. Czapkowie ze swą pragmatyczną postawą filozoficzną i ze swoim typem humanizmu najlepiej reprezentują demokrację mieszczańską międzywojennej Czechosłowacji. Nie znaczy to, byśmy w twórczości Czapków mieli dopatrywać się apoteozy czy apologii mieszczaństwa. Wręcz przeciwnie, spotykamy tam często ostrą jego krytykę, ale krytykę bez perspektyw, relatywistyczną, szukającą ujścia i zaspokojenia w wierze w wartość jednostki ludzkiej oraz drobiazgowej, wręcz fascynującej analizie psychologicznej, odkrywającej w człowieku tyle psychicznych nawarstwień i odmian, że prowadzi to do wniosku o możliwości współżycia wszystkich ze wszystkimi. Twórczość Czapków i zbliżonej do nich grupy to w dużej mierze zjawisko literackie, które próbowano u nas określać mianem literatury szarego człowieka. Główna luka w niej to nie dostrzeganie mechaniki procesów społecznych, to indywidualistyczne a nie społeczne traktowanie człowieka.

I tu właśnie leży sedno różnicy pomiędzy pokoleniem Czapków a ugrupowaniami pozostałymi.

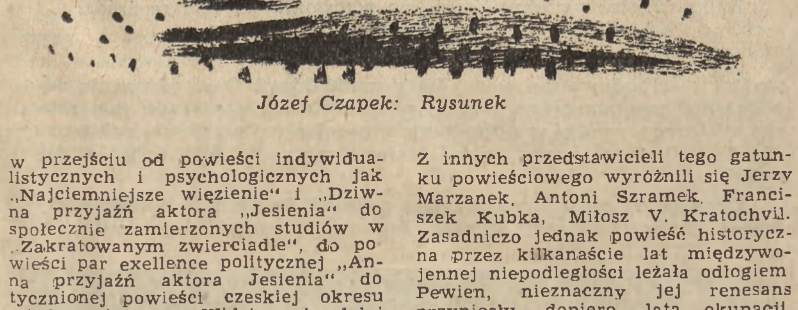
Bo **cechą charakterystyczną literatury czeskiej po roku 1918 jest, że podjęła przede wszystkim zadanie wyjaśnienia przemian społecznych w narodzie i ukazania ich we właściwym świetle.** Postawiła ona sobie za cel przeprowadzenie **ostrej krytyki społeczeństwa mieszczańskiego i kapitalistycznego, ukazania źródła i znamion jego rozkładu, z drugiej natomiast strony odsłania proces narastania nowych sił społecznych,** sił proletariatu. Zarówno wstrząs moralny spowodowany pierwszą wojną światową jak i te nowe dążenia literatury sprawiły, że odsunęła się ona od problemów jednostki, że porzuciła egocentrycznych bohaterów trawionych konfliktem rzeczywistości i fikcji, zwróciła się natomiast ku szerokim malowidłom społecznym z ich skomplikowaną problematyką i przede wszystkim skoncentrowała uwagę na życiu klasy robotniczej. Jak stwier- [illegible]

obok Czapka prozaika Władysława Vanczury. Ten stosunkowo późno debiutujący pisarz przeszedł głęboką i długą ewolucję artystyczną, razem z którą dokonała się i zmiana jego postawy wobec świata. Jak od krańcowego eksperymentatorstwa i nowatorstwa formalnego przeszedł do sharmonizowanych kompozycji epickich tak samo też od postawy drwiącej ironii i sarkazmu w spojrzeniu na życie i człowieka doszedł do umiejętności doszukania się w człowieku cech konstruktywnych i twórczych. Rozwój ten leży na linii lat kilkunastu, jest konsekwentny i intensywny, przynosząc w rezultacie stałe doskonalenie się artyzmu tego wybitnego autora, który zostawił swą twórczością zwłaszcza z drugiego jej okresu świetny wzór, ale nie zostawił zdolnych do podjęcia go uczniów, podobnie zresztą jak i bez większych wpływów w literaturze przeminęła twórczość Czapka.

Obok powieści społecznej inne różnorodne i licznie występujące zjawiska stanowi **powieść chłopska.** Używam tu terminu polskiego którym obejmuję już nie tylko **ruralizm,** ale i stojących poza tym kierunkiem pisarzy specjalizujących się w powieściach ze środowiska wiejskiego.

Ten typ powieści ma długie i bogate tradycje w czeskiej literaturze XX wieku, ale po r. 1918 nie tylko te tradycje oddziałały na jego rozwój. Czeska powieść chłopska ma także swoje szerokie koligacje europejskie a zwłaszcza wiele łączy ją z literaturą francuską i literaturami skandynawskimi. Mimo wspólności tematyki i jednolitej mniej więcej tendencji doszukiwania się w związkach z ziemią źródła specjalnej siły i wartości moralnych człowieka powieść ruralistyczna jest mocno zróżnicowana. Znajdziemy w niej i pisarzy hołdujących fatalistycznemu determinizmowi i chrześcijańskich mistyków, w technice powieściowej spotkamy się z naturalizmem i opisowym realizmem obok tendencji idealizujących i symbolistycznych. Najwybitniejsze indywidualności pisarskie tej grupy to bezsprzecznie Józef Knap i Franciszek Krzelina. Przez tematykę swych powieści łączy się z tym kierunkiem częściowo wybitny nowelista i powieściopisarz Jan Czep, który zasadniczo jednak należy do powieści katolickiej. Nie łącząc ich zasadniczo z ruralizmem blisko tej grupy postawić należy wybitnego pisarza śląskiego ze starszego pokolenia, którego proza rozwija się poważniej dopiero po r. 1918 Wojciechą Martinka oraz związanego z nim początkami swej płodnej działalności pisarskiej A. C. Nora. W ogóle warto podkreślić, że ze Śląska i Moraw wywodzi się wielu pisarzy o specjalnych zainteresowaniach tematyką wsi.

Ogólnie rzecz biorąc czeską międzywojenna powieść chłopska, zwłaszcza zaś powieść ruralistyczna, zdradza przewagę zainteresowań zagadnieniami moralnymi wsi, nie interesuje się tematyką społeczną, konstatuje wprawdzie konflikty społeczne wew- [illegible]



Józef Czapek: Rysunek

w przejściu od powieści indywidualistycznych i psychologicznych jak „Najciemniejsze więzienie" i „Dziwna przyjaźń aktora „Jesienia" do społecznie zamierzonych studiów w „Zakratowanym zwierciadle", do powieści par exellence politycznej „Anna przyjaźń aktora Jesienia" do tycznionej powieści czeskiej okresu międzywojennego. Widzimy ją dalej u Marii Majerowej w przejściu od indywidualistycznie traktowanej problematyki kobiecej do zdecydowanie społecznych, socjalistycznych powieści, o których była już mowa. Podobną drogę przechodzi Anna Maria Tilschova zamykając ją powieścią z życia robotników ostrawskich „Hałdy". O dwadzieścia lat młodsza od Tilschowej Maria Pujmanova, rozpoczynając swą karierę literacką nowelą i powieścią mieszczańską, pozostającą pod wpływami Rużyny Svobodovej dochodzi w kilkunastu latach do dojrzałego realizmu socjalistycznego w „Ludziach [illegible]" i w dalszej swojej twórczości. Rozwój licznej grupy powieściopisarzy będących mniej więcej rówieśnikami Pujmanovej nie jest wprawdzie tak wyrazisty, lecz i oni reprezentują powieść społeczną o dużej różnorodności ujęć i tematyki, powieść kreślącą rozległe, dokładnie wystudiowane obrazy środowisk ludzkich i ich problematyki. Ci właśnie pisarze, których nie można nazwać mimo często ideowej przynależności do marksizmu pisarzami socjalistycznymi, tworzą przez swój realizm społeczny szeroką bazę literacką, z której czerpać może swe siły rozwijający się realizm socjalistyczny. Tutaj na uwagę zasługuje twórczość zmarłych już Beniamina Kliszki i Jarosława Havliczka, następnie powieści emigracyjne Zdeńka Niemeczka, proletariackie powieści Karola Noveho, niektóre powieści Emila Vachka, wysoko artystycznie stojące powieści z życia wsi Jarmili Glazarovej. Zwrócić jeszcze trzeba uwagę na dwóch pisarzy, którzy reprezentują w powieści społecznej kierunek psychologiczny. Jest to Karol Józef Benesz a przede wszystkim Wacław Rzezacz jako autor społecznie mocno zarysowanej powieści „Ślepa uliczka".

Powieść utrzymaną w duchu realizmu społecznego i przechodzącą niektórymi dziełami w realizm socjalistyczny uznać trzeba za najbardziej obok prozy Karola Czapka znamienne i wybitne osiągnięcie w dziedzinie prozy okresu międzywojennego. Twierdzenie to jest tym bardziej uzasadnione, że mimo całej swojej oryginalności i odrębności z tym kierunkiem łączy się twórczość czołowego

Z innych przedstawicieli tego gatunku powieściowego wyróżnili się Jerzy Marzanek, Antoni Szramek, Franciszek Kubka, Miłosz V. Kratochvil. Zasadniczo jednak powieść historyczna przez kilkanaście lat międzywojennej niepodległości leżała odłogiem. Pewien, nieznaczny jej renesans przyniosły dopiero lata okupacji zmuszające pisarzy do poszukiwania neutralnych tematów. Stąd charakterystyczne będzie dla tej powieści poszukiwanie motywów poza dziejami czeskimi i w epokach nie nasuwających analogii ze współczesnością.

Na zakończenie charakterystyki międzywojennej prozy czeskiej nie można pominąć niezbyt licznej, ale ważnej i legitymującej się dużymi osiągnięciami **powieści i noweli wojennej.** Tematyka ta nie była zbytnio popularna i zasadniczo przesuwała się w głębi obrazów, jakie dawała powieść czeska sięgająca po wydarzenia z lat wiążących się z pierwszą wojną światową. Losy Czechów w szeregach austriackich z humorem zaprawionym satyrą przedstawił dobrze nam znany Jarosław Haszek, podobnie temat ten potraktował Jaromir John w popularnych do dziś opowiadaniach „Wieczory na pryczy", natomiast z całą antywojenną pasją i sarkazmem ustosunkował się do niego Władysław Vanczura w „Polach ornych i bitewnych". Największy swój udział wnieśli tu jednak pisarze związani z losami legionów czeskich powstałych w Rosji. Poza antyrewolucyjnie nastawionym Rudolfem Medkiem, który zamknął dzieje tego legionu w pięciu powieściach, epopeję tego ruchu zbrojnego Czechów i Słowaków daje w dwóch wielkich trylogiach doskonały epik Józef Kopta i autor najlepszej czeskiej powieści legionowej „Źródła" — Jarosław Kratochwil. Pisarze ci przede wszystkim opracowaniem tej tematyki zdobyli sobie i utrwalili pozycję w literaturze międzywojennej.

Przegląd powyższy świadczy o silnym rozwoju powieści czeskiej po roku 1918, o jej wielkiej różnorodności, o dużym bogactwie typów powieściowych i różnicowaniu postaw pisarskich. W tym leży siła powieści czeskiej tego okresu, stąd wywodzi się fakt, że daje ona pełny obraz narodowego życia w latach Piewszej Republiki. Dla zamknięcia charakterystyki dodać trzeba, że cechuje tę powieść wytrwała praca nad doskonaleniem strony formalnej dzieła, środków wyrazu oraz kompozycji, że nie obce jej są śmiałe eksperymenty, z których część przynosi poważne i trwałe zdobycze artystyczne, zasilające czeski styl powieściowy. Z naszej perspektywy można by w tym widzieć poważny krok prozy w kierunku wyrównania poziomu i szans z tak wysoko ocenianą poezją.

Jak już wspomniałem, w literaturze słowackiej rzecz miała się nieco odmiennie. Sprawa komplikuje się jeszcze o tyle, że wojna prozę słowacką mocno i to w dosyć osobliwy sposób przetrzebiła. Najwybitniejsi prozaicy słowaccy poza nielicznymi wyjątkami stanęli na usługach reżimu Tisa, a rok 1944 i 1945 postawił ich poza narodem. Wystarczy wymienić takie nazwiska jak Tido Gaszpar, Józef Ciger-Hronsky i najwybitniejszy prozaik po r. 1918 Milo Urban, którego sława literacka dzięki powieściom z życia wsi przekroczyła granice Słowacji. Pozostaje nam więc raczej wskazać tylko na ogólne cechy słowackiej prozy międzywojennej. **Stoi ona w dużej mierze jeszcze pod znakiem impresjonizmu i naturalizmu,** ale odbija na ogół wiernie główne tendencje prozy czeskiej, czerpiąc zresztą zwłaszcza w swym odłamie ruralistycznym i katolickim z tych samych źródeł obcych. Realizm nowoczesny reprezentuje w niej kilkakrotnie już wymieniany Jilemnicky. Brak głębszych tradycji literackich sprawia, że proza słowacka ma do przezwyciężenia duże trudności rozwojowe. Nie można jednak niedoceniać wysiłku pisarzy słowackich i pracy, jaką włożyli w podniesienie i artystyczne udoskonalenie powieści i noweli. Jeśli o literaturze czeskiej możemy powiedzieć — używając terminu Vaclavka, — że u progu niepodległości zakończyła swoje nadążanie za Europą, to w literaturze słowackiej w tym czasie zjawisko to jeszcze trwało, cechy jego widzimy jeszcze dzisiaj, obserwując jednak równocześnie i coraz poważniejsze zdobycze na tej drodze.

Lata wojny

Lata wojny ani w Czechach, ani na Słowacji nie stanowiły tak silnego i bezwzględnego zahamowania życia literackiego jak u nas. Mimo to jednak powstrzymanie rozwoju literackiego jest tu wyraźne i przybiera specyficzne dla sytuacji, w jakiej się obydwa narody znalazły, formy.

W Czechach przez większy czas okupacji istniała możliwość druku, ukazywały się książki, wychodziły niektóre choć nieliczne czasopisma literackie, których w miarę lat wojny ubywało, jak w ogóle ubywało swobody publikowania. Nie można jednak mówić o normalnym i pełnym życiu literackim w tym czasie. Terror niemiecki objął przede wszystkim intelektualistów i to głównie pisarzy, z których wielu straciło życie w obozach koncentracyjnych lub egzekucjach, część natomiast schroniła się na emigrację do Rosji i państw zachodnich. Typową i powszechną represją w kraju był zakaz drukowania obejmujący głównie pisarzy lewicowych i znanych ze swego patriotyzmu, przy czym zakaz ten rozciągał się i na dzieła niektórych wybitniejszych klasyków literatury czeskiej. W tych warunkach narzucała się i dawnym i debiutującym pisarzom konieczność ograniczania się do tematyki neutralnej, uciekania ze swoją problematyką ku sprawom nie istotnym, jednostkowym, schodzenia w zakamarki psychologizowania, poszukiwania fabuły bezwyrazowej, dalekiej od tego, co pisarz chciałby sam wyrazić.

My w Polsce nie zdajemy sobie na ogół sprawy, że kultura czeska w czasie wojny też poniosła ciężkie, krwawe straty. Najcięższe z tych strat dotknęły naturalnie literatury, jej kierunku społecznego i rewolucyjnego. Wystarczy wymienić tu trzech tylko pisarzy: straconego w więzieniu teoretyka estetyki marksistowskiej, krytyka i publicystę dużej miary Juliusza Fuczika, pierwszego na dużą skalę krytyka marksistowskiego i historyka literatury Bedrzicha Vaclavka, który zginął w Oświęcimiu, oraz rozstrzelanego po zamachu na Heydricha powieściopisarza Władysława Vanczurę. Szczegółowa lista strat jest znacznie dłuższa. Nie można pominąć dwóch jeszcze wielkich zgonów: w grudniu 1938 roku zmarł wstrząśnięty do głębi pierwszą fazą klęski narodowej i szczuty przez prasę prawicową Karol Czapek, w roku 1945, już na progu niepodległości umarł jego brat Józef, więziony przez cały czas okupacji w obozach koncentracyjnych. Reprezentowany przez obydwu braci kierunek literacki i filozoficzny doznaje przez ich zgon poważnego ciosu i po wojnie traci zdecydowanie znaczenie na rzecz swego rywala, kierunku rewolucyjno-społecznego.

Na Słowacji w warunkach iluzorycznej wolności stosunki były nieco lepsze, ale i tu istniał terror, i tu istniała emigracja, i tu istniało milczenie pisarzy. Warunki nasuwały więcej możliwości do kompromisów i o tyle może były niebezpieczniejsze dla charakterów. Tym większej nabiera wagi postawa tak bezkompromisowa, jaką wykazał nestor pisarzy słowackich Janko Jesensky, tym silniej trzeba podkreślić zasługę tych, co nie ulegli a na szczęście literatura słowacka miała ich sporo, przy czym do tych pisarzy należą najbardziej reprezentacyjni poeci, którzy nie poszli w ślady skompromitowanych prozaików. Liczni pisarze przyjęli taktykę milczenia, bądź nie publikując w ogóle swych utworów zwłaszcza w wydaniach książkowych, bądź publikując bardzo mało. Antyfaszystowską i narodową tendencję usiłowano przybierać w różne niepozorne formy podobnie jak czynili to pisarze czescy. Obostrzenie i czujność cenzury potrafiono omijać dość często zwłaszcza w poezji i dramacie.

Okoliczności polityczne więc ani w Czechach, ani na Słowacji normalnej ewolucji literackiej nie sprzyjały. To, co było jawne, to były więcej pozory i powierzchowne formy życia literackiego niż istotny przejaw krążenia jakichś prądów literackich. Poezja na przykład, zarówno słowacka jak czeska, ratuje się nawrotami do form surrealistycznych, proza schodzi na drogi, o których karkołomności świadczy „Świadek" Rzezacza czy „Wędrówki Piotra Siedmiołgarza" Drdy.

Na nowym etapie

Z wojny więc obydwie literatury wyszły osłabione. Osłabione stratami i warunkami, w jakich musiały przetrwać te lata. Start powojenny miały jednak znaczenie pomyślniejszy niż nasza literatura. Pisarze wchodzili w życie ze znacznie większą rezerwą sił, bez wstrząsów i komplikacji życiowych, a stosunkowo niewiele zniszczony kraj stwarzał od razu mniej więcej normalne warunki pracy pisarskiej. Poza tym najmłodsze pokolenie literackie, to, które wyrastało w czasie wojny, miało więcej do czynienia z piórem niż z karabinem, nie wychodziło z wojny — tak jak u nas — zdziesiątkowane. Toteż gdy u nas w roku 1945 ukazało się zaledwie kilka pozycji literackich na rynku wydawniczym, w samych ziemiach czeskich i morawskich od 5 maja do końca grudnia wyszło ponad 130 nowych książek. Niektórzy poeci wystąpili w tych kilku miesiącach z dwoma i trzema tomikami.

Możemy zatem śmiało mówić o wielkim ożywieniu ruchu literackiego w Czechosłowacji, zwłaszcza zaś o ożywieniu czeskiego życia literackiego, które miało mniej niż literatura słowacka porachunków z kolaboracją i znacznie mniejsze z tego powodu poniosło straty. W pośpiesznym tempie odrabiano zaniedbania okupacji a wielu pisarzy po przejściu zasadniczej ewolucji lub po zrzuceniu przybranej maski obojętności ukazało zupełnie nowe, nieznane dotychczas oblicze.

Nowe programy artystyczne, a w dużej mierze stare programy w nowych sformułowaniach wystąpiły przede wszystkim w poezji. Tu przejawiło się największe zróżnicowanie grup literackich, których powstało aż siedem, nie zawsze jednak wyraźnie i jasno skrystalizowanych. Był więc i dalszy ciąg katolickiej moderny, i odnowiony surrealizm, i poezja społeczna głosząca hasła nowego realizmu, realizmu nazwanego syntetycznym, domagającego się ścisłego związania się poety z nową rzeczywistością społeczną i stawiającego w centrum swych zainteresowań człowieka społecznego i jego świat. Różnice pomiędzy poszczególnymi grupami nie zawsze były istotne, w programach ich wiele było ukrytych punktów stycznych. Toteż odbyty w marcu 1948 zjazd młodych pisarzy doprowadził do połączenia się najważniejszych z tych grup i stworzenia dla nich jednolitego programu artystycznego, rozplanowanego dosyć szeroko, przyjmującego jednak zasadnicze wytyczne poezji społecznej i grupy realistów.

Ów wcale silny ruch poetycki po wojnie wiąże się z faktem pojawienia się w latach wojennych sporej liczby młodych talentów jak Ivan Skala, Ivo Fleischmann, Władysław Fikar, Jerzy Kolarz, Józef Kainar, Oldrzich Krysztofek i sporo innych mających już poza sobą poważniejsze debiuty. Mimo owego dobrzyskiego zjednoczenia młoda poezja czeska jest mocno zróżnicowana, zbyt może jeszcze związana z niektórymi programami artystycznymi, które opuścili już ich sztandarowi poeci, ale nie widać w niej tego jakby zmęczenia, zniechęcenia i niewiary w poezję, z jakimi spotykamy się często w naszym młodym pokoleniu poetyckim.

Tego okresu fermentu i ścierania się kierunków poetyckich nie widzimy w powojennej poezji Słowacji. Zachowały się w niej zasadniczo dwa główne skupienia poetyckie — surrealiści i katolicy. Pierwsi nie stanowią nawet grupy jednolitej, nie mają swego ośrodka ani organu, różnicują się coraz bardziej artystycznie i ideowo. Obydwie te grupy opierają się zasadniczo na poe-

Dokończenie na str. 5

Literatura czechosłowacka

(Dokończenie ze str. 4)

tach już dobrze w literaturze słowackiej znanych, surrealiści mają Stefana Żaryho, Jana Brezinę, Juliusza Lenko, Rudolfa Frabryho. Vladimira Reisla, Pawła Horova, Jana Raka, kontynuująca swą działalność i aktywna katolicka moderna ma swego dawnego czołowego poetę Hlbinę i młodszych jak Janko Silan, Jan Haranta, Jan Motulko, Wojciech Mihalik. Poza tymi kierunkami stoją starsi poeci jak Smrek, Lukacz, Poniczan. Niezorganizowani młodzi, jak Ctibor, Sztitnicky, Ivan Teren i kilku innych znajdują się dopiero w początkach swego rozwoju.

I w czeskiej i w słowackiej poezji powojennej rzeczą charakterystyczną jest duży udział dawnych poetów przedwojennych. Udział ten jest liczny i ważny, mimo że wielu poetów debiutujących przed wojną i zajmujących już pewne pozycje literackie żywszej działalności pisarskiej nie przejawia, poświęcając się różnym czynnościom pozaliterackim lub intensywnej pracy przekładowej. Starsi poeci czescy i słowaccy nie łącząc się z żadnymi kierunkami czy grupami, w latach powojennych dokonali przede wszystkim obrachunku z niedawną przeszłością, poświęcili swe pióro wyrażeniu przeżyć i doświadczeń okresu wojny. Stąd poezja powojenna obydwu narodów ma charakter wybitnie patriotyczny i społeczny, przy czym dużo w niej jest również tonów refleksjnych i elegijnych mających swe źródło w zamyślaniu nad okrucieństwami wojny. I raczej nie młodzi poeci nadają powojennej poezji czeskiej i słowackiej ton, ale poeci już znani i uznani, a więc twórczość Halasa, Seiferta, Holana, Hrubina, wyleczonego z surrealizmu Nezvala w Czechach, a twórczość Novomeskego, Poniczana, Żaryho, Breziny, Lukacza, Krala, Kostry na Słowacji.

Mniej ożywiony jest nurt prozy powojennej. Tutaj właściwie można mówić o wyraźnym wystąpieniu jednego tylko programu — realizmu socjalistycznego, który formułowany jest coraz konsekwentniej i stanowi najpoważniejszy kierunek literacki. Reszta pisarzy jakby szła naprzód siłą dawnego rozmachu, kontynuując programy, z których wyszła, w tak lub inaczej zmodyfikowanej formie, przyswajając sobie częściowo tylko właściwości kierunku głównego. Wynika to także i z faktu, że w prozie zarówno czeskiej jak i słowackiej w czasie wojny i po wojnie pojawiło się znacznie mniej nowych talentów niż w poezji, że ma w niej olbrzymią przewagę średnie pokolenie literackie, pokolenie posiadające poza sobą po dwadzieścia i więcej lat pracy pisarskiej. W ten sposób obraz powojennej powieści słowackiej i czeskiej w zasadniczych zarysach jest dotychczas ten sam, co przed wojną. Tylko ubyły z niego pewne nazwiska, po których zostaje niezapełniona jeszcze pustka, tylko zmodyfikowały się nieco barwy tego obrazu przez zblednięcie innych grup literackich a silniejsze wystąpienie grupy reprezentującej nowoczesny realizm.

Lata powojenne nie ujawniły jeszcze żadnych większych talentów prozatorskich poza tymi, które wystąpiły w czasie wojny. W literaturze czeskiej z całą pewnością można wymienić dwa nazwiska: przede wszystkim Jan Drda, obok niego Paweł Naumann. Drda wszedł do literatury w r. 1940 „Miasteczkiem na dłoni", które zachowało dotychczas pozycję najlepszej jego powieści, której nie dorównują już następne „Żywa woda" i „Wędrówki Piotra Siedmiołgarza". Rok 1945 umacnia jego stanowisko komedią „Igraszki z diabłem" zbliżoną przez swą atmosferę do „Miasteczka". Dopiero rok najbliższy przyniesie nową sztukę tego pisarza „Czeski Honza" i nową powieść „W lewo zwrot". Szczupły zbiór nowel „Niema barykada" stanowi raczej zbeletryzowaną publicystykę okupacyjną i artyzmem nie zbliża się do żadnej z książek poprzednich. Paweł Naumann debiutował w r. 1942 i zdobył uznanie od razu pierwszą książką „Więcej złego", po której przyszła wartościowa powieść społeczna „Nie można uniknąć" oraz powieść ze środowiska artystycznego „Pomnik trwalszy od spiżu". Obok tych dwóch pisarzy istnieje jeszcze spora grupa ich rówieśników z pokolenia pomiędzy trzydziestką i czterdziestką, po której można jeszcze oczekiwać niespodzianek, jakie przynosi pełna dojrzałość twórcza. Trzecie nazwisko, które tu paść winno obok Neumanna, to nazwisko wcześniej debiutującego jego rówieśnika Egona Hestowskiego, świetnego pisarza psychologicznego.

W prozie słowackiej od roku 1938 też do zanotowania są nowe zjawiska, których rozwój jest coraz bardziej interesujący. Hilemnicky, Franciszek Szvantner, Józef Horak to już nazwiska wcześniejsze podobnie jak Graf, Alexy, czy Gabaj, ale z nowszych na szczególną uwagę zasługuje Margita Figuli dzięki swym powieściom „Trzy kasztanowe konie" i „Babilon", Dominik Tatarka, nowelista i dramaturg Piotr Karvasz a poza tym coraz poważniej zapowiadający się talent Jana Bodenka, który po pierwszych dwóch powieściach wystąpił ostatnio z doskonałym tomem nowel powstańczych „Z wilczych dni".

* * *

Literatura czeska i słowacka w minionych latach trzydziestu przeszła sporo powierzchownych i głębszych przemian, oscylowała pomiędzy naturalizmem a zbytnimi skłonnościami do poetyzowania, ale potrafiła z nich znaleźć wyjście: jej korzenie tkwią w zdrowym realizmie, który wzbogaca się z każdym pokoleniem literackim. Rozwija się ona w ścisłym związku z życiem swojego narodu i stanowi wyraz najżywotniejszych jego problemów i dążeń. W niej odbiło się to wszystko, co naród ten wydał najlepszego i z jej potępieniem spotkało się wszystko, co było w narodzie złe i niedoskonałe. Taka literatura zasługuje zawsze na dokładne poznanie.

Zdzisław Hierowski

EGON NAGANOWSKI

Niesforny kochanek muz

Jest rzeczą uderzającą i paradoksalną, że ze wszystkich bodaj narodów sąsiadujących z Niemcami my Polacy najsłabiej orientujemy się w literaturze niemieckiej. Szczególnie obecnie wykazujemy dla niej nikłe zainteresowanie. Cóż my właściwie wiemy o literaturze III Rzeszy, o antyhitlerowskiej literaturze emigracyjnej, o dzisiejszej mniej lub więcej demokratycznej literaturze naszych zachodnich sąsiadów? Tyle co nic! Poświęcone tym zagadnieniom artykuły Szewczyka, Podkowińskiego, Rogalskiego, Koprowskiego, Wygodzkiego, niżej podpisanego i kilku innych można zliczyć na palcach.

Jeszcze gorzej jest chyba z zainteresowaniem dla niemieckiej literatury dawniejszej. Jedynie Henryk Kleist jako „Zwiastun grozy hitlerowskiej" doczekał się ostatnio bardzo ciekawego i gruntownego studium Jana Bergera („Przegląd Zachodni", Październik 1948). W związku z setną rocznicą Wiosny Ludów ukazał się raptem jeden artykuł o niemieckich pisarzach rewolucjonistach 1848 r. (Trębacze wolności" Odra, nr. 42 — 1948) a 150-tą rocznicę urodzin Henryka Heinego, która przypadała na 13 grudnia 1947 r. uczczono u nas wydrukowaniem kilku krótkich wierszy w tłumaczeniu Leopolda Lewina i sumarycznym artykułem Romana Karsta (jedno i drugie w „Nowinach Literackich" z początku 1948 r.). Nie ulega zaś wątpliwości, że właśnie Heinemu należało się od nas coś więcej. Był przecież nie tylko wielkim poetą, ale również jednym z najciekawszych i najdowcipniejszych — w stylu Voltair'a — pogromców zacofania, jakiego wydała literatura światowa. Według słów Bölschego (w essayu pt.: „Heine im Abendrot seines Jahrhunderts") Heinego trzeba zaliczyć do pisarzy wiecznie żywych, zmuszających każde następne pokolenie do zajęcia stanowiska wobec szerzonych przez siebie idei, wzniecających namiętne walki i dyskusje, gorące sympatie i gwałtowne animozje.

Autor „Baśni zimowej" był i jest antytezą obojętności, najgorszego wroga postępu a najniebezpieczniejszego poplecznika bezruchu i marazmu. Pisząc o nim — gdy minęła 151-sza z kolei rocznica jego urodzin — mam wrażenie, że zajmuję się którymś z współczesnych. Tylko że współcześni jego typu nie są ani w części tak wielcy, a dzisiejsi wielcy nie są ani w części tak współcześni.

Pokrzywa w ogrodzie literatury niemieckiej

Jest charakterystyczne, że najwięcej zwolenników i wielbicieli miał Heine od dawna poza granicami swojej ojczyzny, najwięcej natomiast zażartych przeciwników liczył w samych Niemczech i to jeszcze na długo przed Hitlerem. Znana jest np. wielka popularność, jaką cieszył się autor „Księgi pieśni" we Francji. Heine był dla Francuzów przez długie dziesiątki lat czołowym reprezentantem literatury niemieckiej, na nim i dla niego uczyli się niemieckiego języka, grób jego na Montmartrze tradycyjnie ubierali kwiatami, póki go hitlerowscy podczas okupacji Paryża nie zniszczyli. Gdy komendantura niemiecka nadała wówczas rue Heine inną nazwę, zarząd miejski wraz z grupą intelektualistów francuskich założył przeciw temu uroczysty protest, który oczywiście pozostał bez skutku.

Podobny, datujący już od r. 1830, a trwający po dziś dzień kult Heinego daje się również zauważyć w Rosji, gdzie w latach 1864—1882 ukazało się w tłumaczeniu pierwsze zbiorowe 16 t. wydanie jego dzieł po którym nastąpiły liczne dalsze luksusowe i popularne edycje, nie licząc wielkiej ilości wcześniejszych i późniejszych wydań poszczególnych utworów. Ilość wydanych dzieł Heinego w oryginale i tłumaczeniach wzrosła jeszcze znacznie w Związku Radzieckim. Najnowsza kompletna edycja ukazała się drukiem podczas ostatniej wojny w olbrzymim nakładzie 500.000 egz.

W Niemczech Heine stał się prawie od razu bete noire rasistów i wszelkiego autoramentu reakcjonistów. Obdarzano go pięknymi epitetami w rodzaju „pokrzywa w ogrodzie literatury niemieckiej" „niecny paszkwilant", „mistrz brudnego żargonu". Jeszcze za życia poety „wsławił" się jako denuncjator u władz i rzecznik „zdrowej niemieckiej myśli" niejaki Wolfgang Menzel, pismak pochodzący z Wałbrzycha, który nie nazywał Heinego inaczej, niż „szkodliwym małym żydkiem". Menzel przez swoje napaści w „Literaturblatt" (wrzesień 1835) przyczynił się bezpośrednio do zakazu publikowania i rozprzestrzeniania dzieł Heinego i kilku innych postępowych pisarzy „Młodych Niemiec" w większości krajów niemieckich. Symbolem „żydowsko-dziennikarskiej bezczelności" był też Heine dla znanego i u nas z nienajlepszej strony historyka von Treitschkego, rzecznika pruskiego imperializmu.

Wszelkie jednak rekordy w przedhitlerowskich Niemczech pobił historyk literatury Adolf Bartels, który w swej „Deutsche Literaturgeschichte" (t. II, nowe wyd. Lipsk 1924) a szczególnie w blisko 400-stronnicowej „monografii" pt. „Heine — Auch ein Denkmal!" (Lipsk 1906 starał się udowodnić demagogicznymi chwytami i tendencyjnie wyjaskrawionymi szczegółami z życia osobistego, że Heine był plagiatorem niesłusznie wywindowanym na cokół, „kanalią" i „draniem" („Lump"), „którego chciałoby się chwycić za gardło" („dem man... an die Kehle springen möchte"). „Henryk Heine — reasumuje Bartels — jest w rzeczy samej najnieszczęśniejszą figurą, która przewinęła się w w. XIX-ym nie tylko przez literaturę, ale też przez życie niemieckie. Ukazuje się on, jeżeli wziąć pod uwagę całą jego działalność, bezwzględnie jako czynnik rozkładu i truciciel dusz. Był ojcem dekadencji i to w każdej prawie dziedzinie: literackiej, politycznej i socjalnej. „Heine przy tym sam — zdaniem Bartelsa — różnymi praktykami rozdmuchał swoją wielkość a reszty dokonali „żydowscy chwalcy".

Również uczciwsi uczeni niemieccy (np. Friedr. Kummer w „Deutsche Literaturgeschichte des XIX Jhs." Drezno 1909) ostrzegali przed przecenianiem Heinego, chwalili, bardzo zresztą umiarkowanie, jego liryki, krytykowali formę i ducha wszystkich innych dzieł i odsyłali całość z nielicznymi wyjątkami do literackiego lamusa. Hitlerowcy doszedłszy do władzy znaleźli więc grunt dobrze przygotowany. Oryginalność ich polegała wyłącznie na tym, że palenie dzieł Heinego, co Bartels zalecał jedynie „symbolicznie", wprowadzili w czyn i że niektóre utwory recytowali i śpiewali (do wierszy Heinego dorobiono ogółem 3000 melodii) w dalszym ciągu z zaznaczeniem: „stara pieśń ludowa — poeta nieznany". Tak było np. ze słynną „Lorelei", z której nawet radio III Rzeszy nie chciało zrezygnować, mimo, że według Bartelsa, jej trywialności „nikt nie zdoła już dzisiaj znieść".

Nie sposób jednak zaprzeczeć, że wbrew Bartelsowi i jemu podobnym, Heine był również w społeczeństwie niemieckim bardzo popularny, szczególnie do pierwszej wojny światowej. Ale była to popularność jednostronna i krzywdząca. Czytano prawie wyłącznie „Księgę pieśni", mniej „Nowe wiersze" i niektóre „Obrazy z podróży", resztę zaś przezornie pomijano. Przylepiono Heinemu mieszczańsko-buduarową etykietę „śpiewającego łabędzia" („Liederschwan") i uważano, że tak będzie najlepiej i najbezpieczniej. Tylko bezstronna krytyka podnosiła znaczenie całokształtu jego twórczości, mieszczącej w sobie zarówno artyzm sięgający wyżyn Goethego, jak również rzadką w Niemczech śmiałą myśl postępową. Tej myśli postępowej Heinego, politycznym i społecznym momentom jego dzieł i życia poświęcimy w niniejszym artykule w pierwszej linii uwagę.

Wielkopolskie wakacje

Henryk Heine urodził się w Düsseldorfie. Kilka lat młodzieńczych spędził u bogatego stryja w Hamburgu, który przygotowywał go do kupieckiego zawodu i nawet urządził dlań sklep z manufakturą. Ale niesforny pupil miał zgoła co innego w głowie, uganiał się za dziewczętami i pisywał wiersze, tak że stryj posłał go niebawem (w r. 1819 — Heine miał wtedy 22 lata) na studia prawnicze do Bonn, Getyngi i wreszcie do Berlina, gdzie wykańczający właśnie swój pierwszy tomik („Die jungen Leiden" — „Młode cierpienia") poeta wszedł w literacką atmosferę salonów Racheli Varnhagen i Elizy von Hohenhausen. Tu natrafiamy od razu na ciekawy, mało u nas znany epizod.

U pani Varnhagen Heine poznał młodego szlachcica polskiego Eugeniusza Brezę ze Świątkowa pod Gnieznem i serdecznie się z nim zaprzyjaźnił. Breza zaprosił go do siebie w lecie 1820 r. i tak się stało, że Heine bawił kilka tygodni w Wielkopolsce, mieszkając też czas jakiś w Działynie u Eustachego Wołowicza. Z tych wakacji Heine posłał serię korespondencji do berlińskiego pisma „Der Gesellschafter" pod znamiennym tytułem „O Polsce". Artykuły te, niemiłosiernie zmasakrowane przez pruską cenzurę, narobiły wiele hałasu. „Wobec napiętych politycznych i towarzyskich stosunków, które wówczas panowały w W. Księstwie Poznańskim — pisze Adolf Warschauer („Heinrich Heine in Posen", Poznań b. o. r.) zawadiacki, kpiarski ton obcego podróżnego, jego ostry dowcip, dochodzący czasami do jawnego szyderstwa, swoboda w końcu, z którą omawiał delikatne sprawy, szczególnie zagadnienia narodowościowe, musiała wywołać silne zadrażnienia". I rzeczywiście. Zuchwały młody człowiek, zapoznawszy się nad podziw dokładnie z miejscowymi warunkami nie szczędził nikogo. Dostały się cięgi Polakom i Niemcom, Poznaniowi i prowincji, mieszczanom i arystokracji, a nawet chłopom (oburzająca uniżoność wobec szlachty). A jednak — i to jest dla nas istotne a dla niemieckich krytyków stanowi kamień obrazy — Heine okazuje niedwuznaczną sympatię dla właściwych gospodarzy ziemi wielkopolskiej, porównanie ich z Niemcami absolutnie nie wypada na korzyść tych ostatnich. Podkreśla, że chłop polski jest przeważnie inteligentniejszy od niemieckiego, podziwia entuzjastyczną miłość ojczyzny, tolerancyjność i dążenie do wolności cechujące polskie ziemiaństwo i uważa, że stosunek jego do warstw „niższych" jest na ogół łagodny i życzliwy, że „resztki dawnej srogości przejawiają się rzadko." Specjalnie jest oczarowany Polkami, które wychwala pod niebiosa („A teraz klęknijcie albo przynajmniej zdejmcie kapelusz — będę mówił o polskich kobietach"). Dając potem wyraz swemu współczuciu dla nieszczęść Polski i wychodząc od „głupiego" zdania publicystów niemieckich, utrzymujących, że „Polacy przez swą niezgodę sami zawinili swemu losowi i dlatego nie należy ich żałować", wypowiada wiele ciekawych i trafnych uwag, dotyczących naszej historii, jako przyczyny takiego a nie innego ukształtowania się polskiego charakteru narodowego.

Najwięcej jednak oburza, tym razem Bartelsa, następujący ustęp z pisanych w tym samym mniej więcej czasie „Listów z Berlina". „Wielu tych Sarmatów — wywodzi tam Heine — mogłoby służyć synom Hermanna i Thusneldy (tj. Niemcom) za wzór uprzejmości i szlachetnego postępowania... Gdy się widzi u obcych tyle pięknych cech, to trzeba rzeczywiście niesłychanego patriotyzmu, by trwać nadal w mniemaniu, że Niemiec jest najwspanialszym i najszacowniejszym stworzeniem chodzącym po kuli ziemskiej. „Kawałek zaś dalej wyśmiewa niemiłosiernie „teutomanów" i „staroniemców" nazywając ich zarozumiałymi osłami i baranami oraz „prateutońskimi opojami".

Liryczne intermezzo

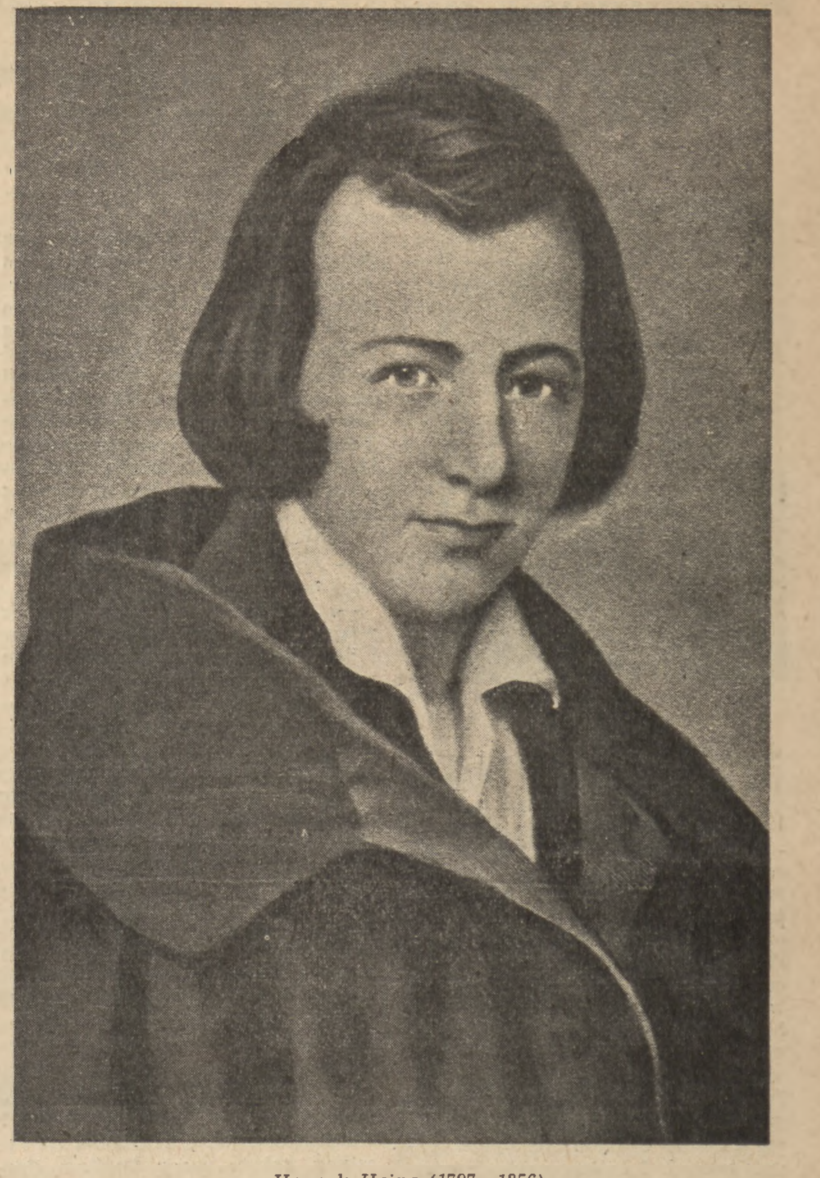
Powyższe artykuły i listy wykazują już prawie wszystkie zalety błyskotliwego i ciętego stylu, jak też niezależnego umysłu, które się niebawem tak wspaniale w Heinem wykształciły i które u jednych zjednały mu miano ojca nowoczesnej publicystyki niemieckiej a u drugich szargającego świętości pismaka, zatruwającego ojczystą prozę. Zrazu jednak „truciciel" powrócił do liryki, ballad i poezji dramatycznych, pisząc i wydając w krótkim czasie „Liryczne Intermezzo" („Lyrisches Intermezzo"), „Powrót" („Die Heimkehr") i „Almansora" oraz „Ratcliffe'a". W zbiorach tych i utworach, które weszły w r. 1827 do „Księgi Pieśni" („Buch der Lieder"), poeta jest romantycznym antyromantykiem, nie ucieka od świata, lecz z pewną modną wówczas pozą podchodzi do rzeczywistości od strony miłosnych, silnie zmysłowych uczuć i doznań. W przeciwieństwie do innych romantyków niemieckich nie „uniezwykla" poezji ludowej, z której często czerpie motywy, mglistą metafizyką, ale zachowując jej fantastyczny sztafaż „uziemnia" ją efektowną pointą końcową, ironią, kpinami i aluzjami politycznymi. Zupełne prawie pożegnanie się z romantyzmem następuje potem w 4-ch tomach „Obrazów z podróży" („Reisebilder, 1826—1831).

Podróże satyryka

Wyjechawszy w r. 1824 z Berlina Heine podróżował przez dłuższy czas po Niemczech, był w Górach Harcu, odwiedził w Weimarze Goethego (któremu wyrzucał wyniosły izolacjonizm), przeszedł w Szlezwigu na protestantyzm, „by otrzymać — jak sam zaznacza — kartę wstępu do kultury europejskiej", jeździł nad Morze Północne, do Anglii, do Monachium i wreszcie do Włoch, spisując pilnie wrażenia, wyciągając z nich daleko idące wnioski i używając sobie, nieraz w sposób nie bardzo dżentelmeński, na ideowych i osobistych przeciwnikach. Mieszał przy tym dowolnie poezję z prozą, przechodząc bezpośrednio do cudownych opisów przyrody, szczególnie morza (które odkrył dla poezji niemieckiej), do złośliwej, posługującej się skrajnie naturalistycznymi obrazami karykatury i zjadliwej publicystyki. Tendencje polityczne i społeczne, pojawiające się przed tym raczej przygodnie, występują tu co raz mocniej. Heine nabiera wyraźnego oblicza, wchodzi na drogę, po której, nie licząc kilku poważniejszych odchyleń, będzie kroczył do końca życia.

W „Księdze Le Grand" (t. II „Obrazów z podróży", b. piękne nowe wyd. Stutgart 1946) Heine pisze z właściwą sobie żartobliwością: „Jabłeczniki były kiedyś moją pasją — teraz jest nią miłość, prawda, wolność i zupa rakowa." Z kolei „żałuje", że nie posiada zdolności do pogodzenia się z istniejącym porządkiem rzeczy, co by mu zapewniło dużo korzyści i „zaszczytów". „Zrobiliby mnie — powiada — profesorem nadzwyczajnym, albo prezesem umoralniającego stowarzyszenia, albo... dyrektorem rzymskich wykopalisk. Byłbym w sam raz człowiekiem, którego by można użyć w różnych dziedzinach i to tym bardziej, że odróżniam wcale dobrze łacińską deklinację od koniugacji i nie tak łatwo jak inni ludzie mylę but pruskiego pocztyliona z etruską wazą... Mój wyśmienity talent poetycki oddałby mi również pierwszorzędne usługi i byłoby wcale nieźle, gdybym w wielkim eposie narodowym śpiewał na cześć owych bohaterów, o których wiemy z całą pewnością, że z ich gnijących zwłok wypełzły robaki, podające się obecnie za ich potomków."

W „Angielskich Fragmentach" (t. IV „Obrazów z podróży") Heine ostro krytykuje brytyjską arystokrację i na podstawie spostrzeżeń poczynionych na wyspie dochodzi do wniosku, że chcąc uzdrowić tamtejsze stosunki należałoby nie tylko zmodyfikować formę rządu, czy usunąć najjaskrawsze niedomagania socjalne, lecz dokonać przeobrażeń zasadniczych, sięgających podstaw życia społecznego i politycznego — na co się wcale nie zanosi. Niemniej stawia Anglików wyżej od Niemców, bo cenią sobie wolność osobistą. „Wprawdzie nie można zaprzeczyć — pisze — że i Niemcy kochają wolność, ale jakże inaczej niż inne narody. Anglik kocha wolność jak swą ślubną żonę, posiada ją i jeśli jej nawet nie traktuje z przesadną czułością, to jednak umie jej bronić jak mężczyzna, gdy zachodzi ku temu potrzeba... Francuz kocha wolność jak wybrankę serca. Pali się do niej, rzuca się do jej stóp wśród egzaltowanych zaklęć, bije się o nią na śmierć i życie, popełnia dla niej tysiączne szaleństwa. Niemiec natomiast kocha wolność jak swą starą babcię."



Henryk Heine (1797—1856)

Wreszcie w trzecim tomie „Obrazów z podróży" („Podróż z Monachium do Genui" i „Kąpiele Lucci") Heine stojąc na polu bitwy pod Marengo zadaje zasadnicze pytanie: „Co jest wielkim zadaniem naszych czasów?" „Jest nim — odpowiada — emancypacja. Nie tylko Irlandczyków, Greków, Żydów frankfurckich, indyjskich Murzynów i podobnych uciśnionych narodów, lecz emancypacja całego świata, przede wszystkim Europy, która dostatecznie do tego dojrzała i uwalnia się obecnie od paska, na którym wiodła ją nieubłaganie arystokracja, kasta możnych. Niech sobie kilku filozofujących renegatów wolności dokonuje subtelnych łamańców, by nam udowodnić, że miliony ludzi zostały stworzone na juczne zwierzęta dla paru tysięcy uprzywilejowanych jeźdźców. I tak nie zdołają nas o tym przekonać dopóki, jak mówi Voltaire, nie wykażą czarno na białym, że pierwsi przyszli na świat z siodłami na plecach, a drudzy z ostrogami u nóg..."

Paryż

Na wieść o wybuchu rewolucji lipcowej we Francji Heine zawołał entuzjastycznie: „Jestem synem rewolucji... podajcie mi lirę, bym wyśpiewał hymn bitewny... słowa podobne do rozżagwionych gwiazd, które spadną na pałace, by je spalić i na chaty, by je oświecić... Jestem cały radością i śpiewem, jestem mieczem i płomieniem..." Tego rodzaju wypowiedzi i znane już uprzednio ogólne nastawienie poety do „trzech tuzinów Neronów" panujących w Niemczech sprawiło, że musiał się w maju 1831 r. przenieść czym prędzej do Paryża. Tu, depcząc po „twardych schodach wygnania" — jak się wyraża wierny jego biograf Gustav Karpeles — Heine poświęcił się przez 10 lat wyłącznie prozie, przeważnie polityczno-polemicznej, przez którą, przyznaje to nawet Kummer (op. cit.), wywarł niemały wpływ na opinię publiczną w Niemczech, co okazało się m. in. później, w r. 1848. Podtrzymywał ożywione stosunki z czołowymi pisarzami francuskimi, pisywał o Niemczech po francusku do „L'Europe Litteraire" i „Revue des Deux Mondes" i posyłał liczne artykuły do augsburskiej „Allgemeine Zeitung", zebrane potem w tomach „Francuskie stosunki" („Französische Zustände", 1833), „Salon" i „Lutecja".

Reedukacja anno 1833

Nisweżąca krytyka niemieckiej rzeczywistości, którą Heine podjął jeszcze w r. 1822 i kontynuował fragmentarycznie w „Obrazach z podróży", jest głównym motywem przedmowy do „Francuskich stosunków". Zwraca się tu w pierwszej linii przeciwko Prusom i sprusaczeniu Niemiec. „Nigdy — pisze — nie dowierzałem Prusakowi, temu pełnemu hipokryzji tromtadrackiemu bohaterowi z nienasyconym żołądkiem i wielką gębą, z kapralskim kijem, maczanym przed użyciem w święconej wodzie. Nie mogłem znieść tego filozoficzno-chrześcijańskiego żołdactwa, tej mieszaniny piwa, kłamstwa i plew. Wstrętne, głęboko wstrętne były mi Prusy, owe sztywne, zakłamane Prusy — istny Tartuffe między państwami". Pogardą napawają też Heinego ci myśliciele niemieccy, którzy jak Hegel i Schleiermacher pozwoliwszy się wprzęgnąć w pruski rydwan, usprawiedliwiają istniejące niewolnictwo i przemoc władzy jako stan zgodny z rozumem i duchem chrześcijaństwa. Ale Niemcy nie widzą niebezpieczeństwa, które zagraża ich wolności. Niemiec „jest w ogóle wściekły na każdego, kto mu dobrze życzy. Jest najgorszym wrogiem swoich przyjaciół i najlepszym przyjacielem swoich wrogów... Ten wariat będzie zawsze wiernym poddanym..., ku uciesze junkrów... pozwoli setkom tysięcy żołnierzy deptać sobie po brzuchu."

Stan taki nie może jednak trwać nadal. „Jeżeli doprowadzimy do tego — podkreśla Heine z mocą — że szerokie masy zrozumieją o co chodzi, to narody nie dadzą się już podbechtać przez służalców arystokracji do nienawiści i wojny. Wtedy dojdzie do wielkiego przymierza ludów i nie będziemy już potrzebowali z powodu wzajemnej nieufności tuczyć stałych armii, składających się z setek tysięcy morderców. Przekujemy ich miecze na pługi, osiągniemy pokój, dobrobyt i wolność. Działalności w tym kierunku poświęcam me życie — tak pojmuję mą służbę. Nienawiść wrogów daje mi rękojmię, że służbę tę wypełniam dotąd wiernie i uczciwie. Okażę się zawsze godny takiej nienawiści."

W końcu napadają jednak Heinego wątpliwości, czy — w odniesieniu do Niemców — można żywić jakieś nadzieje na rzeczywistą przemianę (jak widzimy dziś, po blisko 120 latach stoimy przed tym samym problemem). W tym duchu ostrzega Francuzów: „W każdym razie radzę wam mieć się na baczności. Niech się w Niemczech dzieje co chce, niech dojdzie do władzy pruski następca tronu czy dr Wirth, tak czy owak bądźcie zawsze uzbrojeni, trwajcie na posterunku ze strzelbą na ramieniu." Kilka lat później Heine starał się wytłumaczyć niebezpieczeństwo zagrażające sąsiadom Niemiec niemieckim zamiłowaniem do niewoli, wykorzystywanym przez junkrów i Prusaków. „Niemiec — pisze — jest niewolnikiem słuchającym pana bez pęt, bez bicza, na samo słowo, samo nawet spojrzenie. Jest niewolny w samym sobie, w głębi duszy... Trzeba Niemców uwolnić od wnętrza, od zewnątrz nic nie pomoże." (A więc znowu jedno zagadnienie nader dziś aktualne: reedukacja).

Inne pisma z dziesięciolecia 1831 do 1841 jak „Szkoła romantyczna" („Die romantische Schule") i „O Ludwiku Börne" oraz wspomniane już „Salon" i „Lutecja" zajmują się również w mniejszym lub większym stopniu poruszonymi przed chwilą problemami. Najciekawsze miejsce znajdujemy w „Lutecji". Heine przepowiada tam „najstraszniejszą wojnę niszczycielską" między Niemcami z jednej, a Anglią, Francją i Rosją z drugiej strony. „Ale to byłby — precyzuje — tylko pierwszy akt wielkiego widowiska... Aktem drugim będzie europejska, światowa rewolucja, wielki pojedynek między nieposiadającymi a posiadającymi. Wtedy nie będzie już mowy ani o narodowości, ani o religii. Powstanie tylko jedna ojczyzna — ojczyzna obejmująca cały świat i tylko jedna wiara — wiara w szczęście na ziemi."

Wróżby dwuznacznej bogini

Od r. 1841 Heinego pociąga znów mowa wiązana. Tworzy satyryczne poematy „Atta Troll" i „Niemcy — Baśń Zimowa" („Deutschland — Ein Wintermärchen", 1844). Pierwszy zwraca się przeciw czołowym poetom politycznym, nadającym wówczas ton w Niemczech, a drugi, powstały pod bezpośrednim wrażeniem odwiedzenia ojczyzny, piętnuje z niespotykaną dotąd dosadnością Prusaków i całą reakcję niemiecką. Olbrzymia większość historyków literatury niemieckiej nie posiada się wprost ze świętego oburzenia, gdy przychodzi im omawiać ten „skandaliczny wyczyn". Zacytuję znów Kummera i Bartelsa. Kummer: „Bezwstydniejsza rzecz nigdy nie została napisana w niemieckim języku..." Bartels: „W żadnym ze swych utworów Heine nie dał tak bezpośredniego i mocnego wyrazu swej nienawiści do Niemiec i wszystkiego co niemieckie, nigdzie z tak nieomylnym instynktem nie wyszydził materialnych i duchowych sił, które gwarantują przyszłość Niemiec..." Podobne głosy odezwały się zresztą zaraz w tym samym roku 1844.

Jeżeli się teraz zapytamy, co to takiego strasznego Heine w „Baśni Zimowej" napisał, to wypada przede wszystkim przytoczyć wyjątek z przedmowy. Czytamy tam: „Postawcie czarno-czerwono-złotą chorągiew na wysokości niemieckiej myśli, zróbcie ją sztandarem wolnej ludzkości, a oddam za nią serdecz-

(Dokończenie na str. 7)

HENRYK HEINE

Niemcy

Baśń zimowa

Od pruskiej strony na komorze
Me kufry przetrząsano.

Czyli nie wiozę, skroś szukano
Śród koszul, majtek, sprzążek,
Koronek cienkich, biżuterii
I zakazanych książek.

O, głupcy! W kufrze mym szukają!
Czyż nie wierutna banda!...
Tu — tu panowie, w mojej głowie
Calutka contrabanda.

Koronek zwoje najcenniejszych
I ząbków sadź uroczną
Mam w głowie, niech no je rozwinę,
Dopieroż gryźć was poczną!

Brylanty najprzedniejszej wody
Śród pereł rzadkich mnóstwa —
I skarbiec cały ze świątyni
Niewiadomego bóstwa!

I książek — książek cała fura!
Wyznaję to — za katy!
Ma głowa — gniazdo świergocące:
O, to do konfiskaty!

W szatana, ręczę, bibliotece
Bies gorszych nie naliczy:
Pan Hofman Fellersleben przy mnie
Po prostu jest dziewiczy!

Stojący obok mnie w pobliżu
Pasażer jakiś dzielny
Oświadczył mi, że mam przed sobą
Potężny związek celny.

Ten związek celny — prawił dalej —
Zjawisko niepowszednie:
On rozdrobnione państwa siły
W potężną łączy jednię.

To — pierwsza jednia, ta — zewnętrzna
Tak zwana — materialna,
Duchowa jednia — to cenzura,
Prawdziwie idealna.

Ta — dusze, serca i umysły
Opieką darzy swoją —
I, ot, na zewnątrz i na wewnątrz
Potężne Niemcy stoją!

* * *

O trzy na ósmą porzuciłem
Kolonii gród jałowy;
Stanąłem w Hagen koło trzeciej
Na sam czas obiadowy.

Stół był nakryty. Tu masz całkiem
Staroniemiecką kuchnię
Bądź pozdrowiona mi kapusto!
Woniejesz tak miluchnie!

Kasztany suto osmażane!
W dzieciństwa cczę was haśle!
Stokfisze! Jakże niezrównanie
Pływacie mądrze w maśle!

Wrażliwe serce na te rzeczy
Ojczyzny urok zdwaja —
Ha! lubię także przydymione
Sielawy tudzież jaja.

Kiełbaski, w sosie pływające,
I drozdy — jak pieczone
Aniołki z rożna, świergotały
„Jak się masz" w moją stronę.

„Jak się masz, ziomku! Ty, niedobry!
Ty taki, ty owaki!
Tak długo gdzieści na obczyźnie
Goniłeś inne ptaki!"

A potem na stół gęś wjechała,
Potulność jej przwilej.
Napewno kiedyś mnie kochała,
Kiedyśmy młodsi byli.

Jak czule, rzewnie spoglądała,
Miłosną święcąc stratę —
Ha! duszę miała bardzo piękną,
Lecz mięso łykowate.

Wreszcie łeb świński na półmisku —
Mam mówić o głowiźnie?
Dotychczas wieńczą laurami
Łeb świński w mej ojczyźnie.

* * *

A oto las ów teutoburski,
O którym wieść w Tacycie:
Klasyczne błoto, w którym Warus
Tak ugrząsł znamienicie.

Cherusków witeź, Herman dzielny,
Tu dosiadł go śród boju:
Niemiecki geniusz narodowy
Zwycięstwo odniósł gnoju!

Gdyby był Herman wraz z hordami
Nie zawisł nad olbrzymem,
Nie kwitła wolność by niemiecka
I bylibyśmy — Rzymem.

Zwyczaje rzymskie, mowa rzymska,
Z niemieckich nic powabów —
Westalki byłyby w Monachium,
Kwiryci — miasto Szwabów.

Hegstenberg grzebałby się w trzewiach
I wieszczych szukał znaków,
Neander zostałby augurem
I wróżył z lotu ptaków.

Birch-Pfeiffer piłby terpentynę,
Jak ongi rzymskie damy
(Podobno przez to ich uryna
Woniała, jak balsamy).

Raumer by nie zwał się pajacem,
Z łacińska lecz pajatius.
Freiligrath pisałby bez rymu,
Jak Flaccus ów Horatius.

Grubiański nędzarz, Jahn Ojczysko,
Ten zwałby się grubianus. —
Me Hercle! Massmann byłby pewno:
Marcus Tullius Massmanus!

Obrońcy prawdy braliby się
Za bary w rączym skoku
Z panterą lwem — i na arenie!
Nie z psami — w psim rynsztoku.

Nie trzy tuziny dobrodziejów,
Lecz jeden byłby Nero —
I otwieranie żył by było
Zabawką i chimerą...

Seneka byłby całkiem Szelling
I miałby już to dictum,
Korneliusz nasz też by usłyszał:
Cacatum non est pictum.

Niestety! Herman wygrał sprawę,
Rzymianie przepędzeni —
Legiony padły — myśmy Niemcy
Na całej wkrąg przestrzeni.

Mówim i czujem po niemiecku,
Niemieckość nas tak wabi —
Osioł jest Esel, nie asinus,
Szwabami ciągle — Szwabi.

Raumerek tylko jest pajacem
I walczy za ordery.
Freiligrath wciąż używa rymu,
Nie — Horac naszej ery.

Massmann nie mówi po łacinie,
Birch-Pfeiffer wciąż ten samy —
I nie chce pijać terpentyny,
Jak ongi rzymskie damy.

O cześć ci za to cześć Hermanie!
Za słusznym całkiem działem
W Detmoldzie pomnik dla cię stanie —
Sam na to grosz już dałem.

* * *

Noc — las — wyboje. Balansuje
Dyliżans — w okrąg ciemnie —
Wtem trzask! — oś pęka — przystajemy, —
Nie bardzo to przyjemnie.

Pocztylion złazi i pospiesza
Do pobliskiego sioła —
Sam jeden w lesie pozostaję —
Las wyciem brzmi dokoła.

To wilki głodne tak zawodzą,
Szanowne wielce grono —
W ciemnościach ślipie ich ogniste,
Jak świeczki, gęsto płoną.

O mym przejeździe bestie piękne
Na pewno zasłyszały,
Iluminacje urządziły,
Śpiewają mi hejnały.

To — serenada, jak miarkuję,
Na cześć mą — późną nocą. —
Więc tedy pozę odpowiednią
Przybrawszy, rzeknę z mocą:

— Spółwilcy, czuję się szczęśliwym
W tej tak znamiennej dobie,
Gdy tyle serc szlachetnych rwie się
Ze czcią ku mej osobie!

Ta piękna chwila w sercu moim
Na zawsze pozostanie. —
To co dziś czytam w waszych oczach,
W mym utkwi niezachwianie.

Dzięki wam, dzięki za dowody
Pamięci i uznania,
Które ta chwila tak dosadnie
I hojnie tak odsłania.

Spółwilcy! Liczcie zawsze na mnie!
A niech was nie omami,
Gdy szelma jaki psem mnie głosi,
Lub — że się bratam z psami.

Że, odszczepieniec, wkrótce będę
Hofratem w capów stadzie:
Zaprzeczać temu wbrew godności
Mej było i zasadzie.

Ta skóra owcza, którą wkładam
Czasami dla rozgrzania
Nie świadczy całkiem, iżby rola
Nęciła mnie barania.

Nie, nie! nie jestem ani capem,
Ni szelmą na urzędzie —
Wilk jestem, kły me wilcze, serce
Jest — było — wilczym będzie!

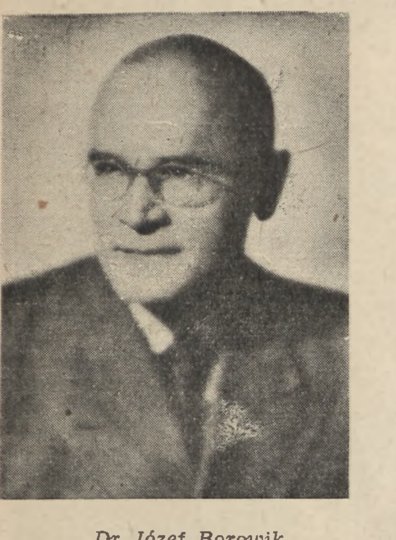
Tak! wilkiem jestem i z wilkami
Wyć będę w czystym borze!
Dopomagajmy sobie wzajem,
A Bóg nam dopomoże!

Oto jest mowa którą-m wilki
Przygodnie był uraczył, —
Kolb w Allgemeine Zeitung z gruntu
Rzecz całą tę wypaczył.

Z niemieckiego przełożył
JÓZEF JANKOWSKI.

Rozmowy z polskimi marynistami (XIII)

W warsztacie uczonego



Dr Józef Borowik

Naukowa problematyka morska jest dziedziną tak rozległą i szeroko rozgałęzioną, że przed laikiem, pragnącym się jako tako zorientować w jej najistotniejszych założeniach i celach, piętrzy się niemały trud, jak ogarnąć całość zagadnienia. Pomocą w zorientowaniu się może być zapoznanie się z działalnością i zadaniami takich placówek jak *Instytut Bałtycki, Morski Instytut Rybacki* czy *Morskie Laboratorium Rybackie.* O tym ostatnim mówiliśmy, warto więc sięgnąć teraz do Instytutu Bałtyckiego. Założony jeszcze w roku 1925 obejmował on swym programem początkowo głównie badania stosunków gospodarczych i politycznych ówczesnego polskiego wybrzeża, z czasem jednak program jego prac rozszerzył się na *całość naukowej problematyki morskiej,* tak również ziem nadbałtyckich.

Jak doniosłe były rezultaty działalności Instytutu Bałtyckiego już przed wojną, świadczy o tym m. in. jego dorobek wydawniczy. Wynosił on *przed wojną 1350 pozycji bibliograficznych, opracowanych przez około 500 autorów* z różnych dziedzin nauki. Prace Instytutu ukazywały się też za granicą w językach obcych. Tak np. broszura dr Lutmana p. t. „Dziesięcioro o Pomorzu" ukazała się w siedmiu językach w ogólnym nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy. Książka Supera w języku angielskim p. t. „Składniki polskiej kultury" rozeszła się zagranicą w nakładzie 20 tysięcy egzemplarzy, praca prof. *W. Sobieskiego p. t. „Walka o Bałtyk" wyszła w języku niemieckim w nakładzie 3 tysięcy egz.* i chociaż po dojściu Hitlera do władzy została skonfiskowana i zakazana, zwiększyło to tylko jej poczytność. Instytut Bałtycki wydawał też pismo w języku angielskim „Baltic and Scandinavian Countries". Niemcy śledzili ze szczególną uwagą te prace i zwalczali ze zrozumiałą wściekłością, Instytut bowiem walczył z nimi najbardziej nieodpartą bronią, bo prawdą naukową. Podczas okupacji dokonali z Instytutem krwawego rozrachunku. 55 pracowników Instytutu zginęło, cały zaś jego dorobek, zbiory i urządzenia zostały niemal doszczętnie zniszczone.

Prace Instytutu zostały wznowione po wojnie w lutym 1945 roku.

Jakie nowe zadania i nakazy postawiła przed Instytutem rzeczywistość powojenna, o tym dowiaduję się od długoletniego dyrektora Instytutu *dr Józefa Borowika,* człowieka, *który 35 lat życia poświęcił służbie morskiej,* w jej organizacyjnej, naukowej, gospodarczej i politycznej dziedzinie.

— *Jak dawno jest Pan dyrektorem Instytutu?*

— Od listopada 1928 roku. Kierowałem też Instytutem potajemnie w latach 1942 do 1945. Po wojnie powołany zostałem komisarycznie w marcu 1945 r. Proszę jednak nie identyfikować mojej skromnej działalności z pracą Instytutu. Instytut ma swoje zasługi i swój rachunek naukowy. W dzisiejszym układzie przedstawia Instytut duży zespół pracowników naukowych, posiadających swoje własne oblicze i kierunek pracy. Naturalnie Instytut jest terenem pracy naukowej i organizacyjnej, w której wyżywam się w dużym stopniu. Ale jest to tylko jedna z dziedzin mojego zainteresowania i to nie najważniejsza.

— *Czy i o ile prace Instytutu uległy po wojnie zmianie?*

— W zasadzie zadania te nie uległy zmianie. Obejmują nadal prace naukowo-badawcze, działalność informacyjną i wydawniczą, gromadzenie zbiorów i dokumentów oraz działalność dydaktyczną. Jedynie zakres działalności uległ pewnej koncentracji. Przed wojną obejmował: 1) Pomorze, 2) porty i żeglugę w zakresie światowym, 3) sprawy międzynarodowe — w pierwszym rzędzie skandynawskie, w drugim niemieckie. Po wojnie najpierw odpadły sprawy niemieckie, potem pomorskie i zdaje się wkrótce odpadną ostatecznie skandynawskie. Pozostaną natomiast pogłębione i rozszerzone studia morskie, prowadzone w zakresie obrotu portowego i transportu morskiego w aspekcie krajowym regionu bałtyckiego i stosunków światowych.

— *Co było powodem przeniesienia się Instytutu Bałtyckiego z Bydgoszczy do Gdańska?*

— Bydgoszcz była tylko czasową siedzibą Instytutu z powodu braku własnego gmachu w Gdańsku. Gmach ten odbudowano dopiero niedawno. Zresztą już przed wojną Instytut pożegnał się z Toruniem i Bydgoszczą i w roku 1935 zmienił ustawowo siedzibę na Gdynię. Właściwie chcieliśmy się przenieść do Gdańska, ale nie uzyskaliśmy na to zgody Senatu. Dziś Gdańsk jest naszą siedzibą, co jest rzeczą zupełnie naturalną i odpowiadającą nowym warunkom pracy.

— *Jak jest zorganizowana praca naukowa Instytutu?*

— Ześrodkowuje się ona przede wszystkim w tzw. Biurze Studiów i Prac Redakcyjnych, posiadającym własny aparat naukowo-badawczy, naukowo-techniczny i naukowo-redakcyjny. Łącznie 20 pracowników naukowo kwalifikowanych. Praca badawcza i redakcyjna wspierana jest poza tym przez komisje naukowe składające się z 92 członków rzeczywistych, przeważnie wybitnych uczonych i specjalistów oraz przez szerokie grono współpracowników poszczególnych Studiów i Redakcji. Jeśli chodzi o tematykę poszczególnych Biur Studiów, a jest ich 6, to wiążą się one z podstawowymi przeobrażeniami w zakresie polskiej polityki morskiej dotyczącej problematyki gospodarczej i społecznej.

— *Może powie mi Pan szczegółowiej o pracy poszczególnych Biur? Na przykład jak przedstawia się ramowy zakres pracy Studium Prawa Morskiego?*

— Studium Prawa Morskiego przeprowadza badania nad transportem morskim z punktu widzenia morskiego prawa wewnętrznego i międzynarodowego i ubezpieczeń morskich. Studiuje zagadnienia prawno-socjalne, a więc dotyczące ustawodawstwa o służbie marynarza czy robotnika portowego. Dokonuje studiów nad międzynarodowym publicznym prawem morskim, a więc zagadnieniami morza przybrzeżnego, problemem zawłaszczenia dna morskiego, bezpieczeństwem życia na morzu, wolnymi strefami itd. Zajmuje się wreszcie, biorąc najogólniej, sądownictwem morskim i wolnymi obszarami portowymi.

— *A Studium Ekonomii Morskiej?*

— Tu przeprowadza się prace z zakresu powiązania i wzajemnego oddziaływania gospodarki morskiej oraz ogólniejszej polityki gospodarczej kraju. Tu bada się udział gospodarki morskiej w dochodzie narodowym i przeprowadza studia z dziedziny międzynarodowych stosunków transportowych, międzynarodowej współpracy i współzawodnictwa oraz warunków optymalnego wyzyskania portów polskich i polskiego wybrzeża.

— *A które Biuro przeprowadza badania geograficzno-morskie?*

— Nazywa się ono Biurem Studiów Geograficzno-Gospodarczych. Bada ono Bałtyk i jego bezpośrednie zaplecze lądowe, zagadnienia lokalizacji przemysłu portowego, szlaki komunikacyjne, rozmieszczenia źródeł surowcowych itp.

— *A trzy dalsze Biura?*

— To Biuro Studiów Społeczno-Gospodarczych, Historyczno-Gospodarczych i Studiów Przyrodniczych. To ostatnie opiera się o dział przyrodniczomorski Waszego Szczecińskiego Muzeum Morskiego.

— *Czy opracowywanie monografii poszczególnych miast portowych należy do Instytutu?*

— Tak. Zajmuje się nim wymienione przeze mnie Studium Historyczno-Gospodarcze. Ma ono dać monografie nie tylko polskich, ale wszystkich portów bałtyckich. Gromadzi ono także materiały naukowe do zagadnienia penetracyj handlowych holenderskich i angielskich w regione bałtyckim, opracowywuje monograficzny rozwój historyczny niektórych dziedzin przemysłu i handlu morskiego oraz kontynuuje prace nad dziejami polskiej myśli gospodarczo-morskiej. Naturalnie to tylko najogólniejsze ramy tematyczne. Chciałbym też zaznaczyć, że Instytut nasz współpracuje blisko z Instytutem Rybackim.

— *Jak wygląda w okresie powojennym stan wydawnictw Instytutu?*

— Ukazały się dotąd 52 książki i broszury, zawierające 143 pozycje bibliograficzne. Wydaliśmy ponadto 9 zeszytów kwartalnika „Jantar", 26 zeszytów powielonego miesięcznika p. t. Biuletyn Informacyjny Morski oraz 2 numery kwartalnika „Gospodarka Morska".

— *Czy przewidujecie wznowienia pewnych prac przedwojennych Instytutu? Zainteresowała mnie np. zbiorowa praca przedwojennego wydawnictwa pod Pańską redakcją p. t. „Światopogląd morski".*

— Z prac przedwojennych mało przeznaczamy do wznowienia. Odpada przede wszystkim tematyka pomorska jako nieaktualna. Poza tym podejście przedwojenne do spraw morskich wydaje się nam dziś obce. Sugestia Pańska co do „Światopoglądu morskiego" zainteresowała mnie. Rzecz wymaga jednak dyskusji. Patrzymy dziś na te rzeczy bardziej trzeźwo.

— *Mieliśmy niedawno w ręku pierwszy numer nowego organu Instytutu Bałtyckiego. Jest nim kwartalnik p. t. „Gospodarka morska". Jakie zadania stawia sobie „Gospodarka Morska"?*

— Sprawa powołania czasopisma o tematyce gospodarczo-morskiej jest postulatem dawnym. W samym Instytucie pielęgnowano tę myśl od lat dwudziestu. Lecz dopiero teraz odważyliśmy się wystąpić. Same bowiem dobre intencje i trafny sąd nie wystarczają. Trzeba posiadać duży aparat naukowo-badawczy oraz, co jest nie mniej ważne, pokaźny aparat informacji bieżącej, który by nieustannie gromadził obserwacje i opracowywał cyfrowy materiał ze spostrzeżeń. Instytut Bałtycki, powoławszy już przed wojną Gospodarcze Archiwum Morskie i tworząc obecnie Biuro Studiów, w którym ma się odbywać praca licznych zespołów specjalistów, staje się dziś dużym laboratorium, w którym zjawiska usług morskich są poddawane stałej obserwacji, a wyniki jej stale opracowywaniu w celu ustalenia jakichś hipotez, zarysowania praw i prawdopodobnych przewidywań. Gospodarka morska ma swój odrębny udział w całości polskiego gospodarstwa narodowego, wywiera przemożny wpływ na nią i sama też kształtuje się pod przemożnym wpływem innych gałęzi gospodarczych państwa. Morze, wybrzeże morskie, a w szczególności porty morskie, krótko mówiąc, cały aparat gospodarstwa morskiego — jest w naszym rozumieniu rodzajem soczewki, w której przełamują się promienie wychodzące z obu skomplikowanych środowisk produkcji i spożycia: gospodarstwa światowego i gospodarstwa narodowego. Te promienie wzajemnej wymiany, przełamując się w soczewce gospodarki morskiej, pozwalają nam obserwować odbicia obu tych środowisk. Tym właśnie zagadnieniom będzie służył kwartalnik „Gospodarka Morska".

— *Mówiliśmy tyle o sprawach Instytutu Bałtyckiego, pomijając Pańską twórczość. Przecież Pańskie nazwisko figuruje na kilkuset artykułach i kilkunastu pracach naukowych.*

— Jako człowiek zajmujący się od 35 lat naukowo gospodarką morską" chciałbym przede wszystkim wyrazić „Odrze", czasopismu literackiemu, wdzięczność za wprowadzenie cyklu tak obszernych „Rozmów z polskimi marynistami". Odczuwałem zawsze głęboką potrzebę obcowania z ludźmi myślącymi i piszącymi o morzu. Bardzo wiele zawdzięczam w swej pracy bezpośredniemu i pośredniemu obcowaniu z ludźmi — pisarzami, publicystami, plastykami i muzykami — których określa się jako marynistów. Wydaje mi się, że braki w polskiej marynistyce, na które zwracano uwagę i w Pańskich wywiadach płyną w dużym stopniu z niedostatecznych, zbyt płytkich kontaktów ludzi piszących o morzu z ludźmi kształtującymi rzeczywistość morską, z ludźmi morza. Nasze zainteresowania morzem powinny być uwielokrotnione. Tego wymagają nasze potrzeby gospodarcze, polityczne i kulturalne Osiągnie się to przez zaszczepienie społeczeństwu idej, opierających się na dokładnej wiedzy o morzu, przez nieustanne krzewienie wiadomości o procesach odbywających się w portach, na morzu, czy statkach — wreszcie przez emocjonalne oddziaływanie dzieł sztuki, mówiących o morzu. Nim upowszechnimy wiedzę o morzu, nim stworzymy własne arcydzieła w tych wszystkich dziedzinach, należy już dziś udostępnić jak najszerzej doskonałe wzory obce.

— *Jak zrodziły się u Pana naukowe zamiłowania morskie?*

— Urodziłem się w Kownie. Matka moja pochodzi z chłopskich osadników holenderskich na Litwie. Stąd może moja tęsknota do dalekich krajów i łatwość językowa. Znam 5 kontynentów, 3 oceany i 7 mórz, przebyłem 2 lata na Dalekim Wschodzie — w Japonii i Chinach i 1 rok w Brazylii. Byłem inspektorem rybołóstwa na Morzu Kaspijskim w latach 1915—1918, kierownikiem resortu rybackiego w Poznaniu i Warszawie w latach 1920—1926, pracowałem w Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego w latach 1926—1928. Ukończyłem, jeśli chodzi o moje wykształcenie, wydział przyrodniczy Unwersytetu rosyjskiego, doktorat z geografii uzyskałem na Uniwersytecie Jagiellońskim.

— *Wydaje mi się, że informacje te nie dają jeszcze całkowitego obrazu Pańskiej pracy i twórczości. Może Pan nam powie o swych zainteresowaniach i pracy w latach 1920—1926.*

— W wymienionym przez Pana okresie stałem na czele administracji rybackiej, którą powołałem do życia, jako kierownik pierwszego w Polsce wydziału rybackiego obejmującego całokształt spraw rybackich — najpierw w Poznaniu, a potem w r. 1923 w Warszawie. Wszyscy pracujący dzisiaj w dziedzinie rybactwa morskiego i słodkowodnego, jak też niedawno zmarły ś. p. Hryniewiecki, byli moimi najbliższymi współpracownikami. Sprawami rybackimi zajmowałem się i zajmuję nadal „con amore". Studiowałem kiedyś dział rybołóstwa w Instytucie Rolniczym. Utrzymuję nadal bliski kontakt z Departamentem Rybołóstwa. Obecnie jestem w dalszym ciągu delegatem rządowym do międzynarodowych instytucji rybackich i współpracuję blisko z Morskim Instytutem Rybackim w dziedzinie ekonomiki. Czuję głęboką satysfakcję, widząc rozwój przemysłu rybnego, rybołóstwa dalekomorskiego i baz rybackich w Gdyni i w Szczecinie, pierwsze bowiem koncepcje organizacyjne w tych dziedzinach są związane z moimi pomysłami i pracami. Obecnie wysuwam koncepcję połowów wielorybich, które wydadzą się może teraz równie egzotyczne, jak poruszone przeze mnie po raz pierwszy — 25 lat temu — sprawy połowów śledzi na Morzu Północnym albo sprawy eksportu konserw szprotowych.

— *W latach 1926 do 1932 stał Pan m. in. na czele placówki badawczej „Działu Ekonomiki i Organizacji Rybactwa".*

— Stworzyłem tę placówkę w ramach Instytutu Naukowego Gospodarstwa Wiejskiego (Puławy, Bydgoszcz, Hel). W tym okresie stworzyłem zręby aparatu polskiego do badań oceanograficznych (obecna Stacja Morska w Gdyni w ramach Morskiego Instytutu Rybackiego). Byłem też pierwszym kierownikiem naukowym polskiego statku badawczego „Ewa", przy pomocy którego przeprowadzało się wówczas badania przekrojów hydrograficznych Bałtyku i stałe obserwacje oceanograficzne w Zatoce Gdańskiej. Nie ma zakątka na Bałtyku, którego by nie odwiedziła nasza ekipa. Wprowadziliśmy w polskim rybołóstwie użycie włoku śledziowego, skierowaliśmy rybaków na pełne morze, wskazywaliśmy im nowe tereny połowów. Weszliśmy też do międzynarodowych instytucji naukowych jako pełnoprawni i cenieni członkowie. Piastuję w dalszym ciągu mandat rządu jako stały delegat do Międzynarodowej Rady Badań Morza w Kopenhadze. Wyniki prac polskich były przedstawiane na różnych kongresach międzynarodowych: rybackich, oceanograficznych i hydrograficznych.

Interesuję się też zagadnieniami naukowymi z dziedziny ekonomiki i organizacji rybactwa morskiego, jakkolwiek nie posiadam własnego warsztatu pracy naukowej. Nie tracę jednak nadziei, że uda mi się powołać na nowo do życia zlikwidowany w r. 1932 zakład Ekonomiki Rybackiej, w związku z potrzebą stworzenia centrum kształcenia na najwyższym poziomie specjalistów rybactwa morskiego. Istnieją bowiem w Polsce aż 4 katedry rybactwa słodkowodnego, a nie ma ani jednej z zakresu rybactwa morskiego. Specjaliści w tej dziedzinie są nadal skazani na samouctwo.

— *Pragnąłbym jeszcze usłyszeć o ostatnim okresie Pańskiej działalności naukowej.*

— To lata od 1932 do chwili obecnej. Jest to praca w Instytucie Bałtyckim. Zostałem zaangażowany na Dyrektora Instytutu w 1928 roku, lecz przez cztery lata pełniłem te obowiązki pobocznie, dojeżdżając z Bydgoszczy do Torunia, gdzie się mieściła siedziba Instytutu Bałtyckiego. Dzisiaj kanonem pracy naukowej jest specjalizacja. Kierownik dużej instytucji naukowej nie może reprezentować jakiejś uniwersalnej wiedzy. Cały więc dowcip kierownictwa polega na przyciąganiu znawców z poszczególnych dziedzin i właściwym podziale pracy między umiejętnie dobrane zespoły specjalistów. W okresie przedwojennym Instytut tkwił na niskim jeszcze poziomie pracy zespołowej. Kilka zasadniczych tematów, którym poświęcił wówczas uwagę, było opracowywanych w ten sposób, że do poszczególnych części składowych dużych tematów (np. Pomorze Gdańskie, Region Bałtycki) dobierano autorów, posiadających już gotowy materiał naukowy lub właśnie studiujących te zagadnienia. Uzyskiwany w ten sposób materiał fragmentaryczny „dopasowywano" do całości i tworzono cykle publikacji albo prace zbiorowe, które stanowiły kolejne tomy „Pamiętnika Instytutu". Takich tomów przed wojną ukazało się 48. Obok tego redagowano zwykłą techniką dwa kwartalniki: „Kraje Bałtyckie" (w języku angielskim) oraz „Jantar". Jako osobne druki ukazywały się „Komunikaty" oraz seria monografii z dziedziny transportu morskiego „Prace Gospodarcze Archiwum Morskiego". Razem przeszło przez moje ręce jako redaktora tych wszystkich wydawnictw przed wojną 1350 publikacji, napisanych i wydawanych w 6 różnych językach.

— *Była to chyba bardzo absorbująca praca redakcyjna i organizacyjna?*

— Naturalnie. Po wojnie nauczony doświadczeniem odstąpiłem całość tych zadań jednemu ze swoich zastępców. Również duże troski administracyjne i finansowe kierownika tego rodzaju instytucji udało się przerzucić na specjalnego urzędnika administracyjnego. Pozwoliło to na poświęcenie większej uwagi na prace organizacyjne Instytutu Bałtyckiego oraz czasu na prace osobiste. Dzięki tym właśnie pracom organizacyjnym i wprowadzeniu 6 zasadniczych kierowników tematycznych, o których już mówiliśmy, Instytut pracuje dziś lepiej aniżeli przed wojną i stworzył własne narzędzie pracy naukowo-badawczej. Drugim osiągnięciem w okresie powojennym jest stworzenie zrębów Muzeum Morskiego w Szczecinie jako placówki naukowo-dydaktycznej, obejmującej podstawowe zagadnienia morskie. To wszystko stało się możliwe dzięki studiom przeprowadzonym przeze mnie nad organizacją warsztatów naukowych o charakterze stosowanym. Studia te stanowią jeden ze stałych przedmiotów mego zainteresowania. Przed wojną ogłosiłem dwie prace z tej dziedziny: *„Zagadnienia tzw. etatyzacji nauki"* oraz *„Organizacja szkolnictwa wyższego"* Po wojnie opracowałem zagadnienie organizacji muzeów morskich. Jestem też w trakcie zakończenia pracy poświęconej organizacji badań stosowanych.

—*Jednym z „hobby" naukowych Pana w Instytucie są, zdaje się, zagadnienia geografii gospodarczej w odniesieniu do krajów skandynawskich oraz handlu morskiego i żeglugi?*

— Gromadzenie materiału z tej dziedziny rozpocząłem przed wojną i opublikowałem wiele rozpraw na ten temat. Obecnie przygotowuję obszerniejszą rzecz w formie podręcznika geografii gospodarczej Regionu Bałtyckiego.

— *A inne tematy?*

— To problem niemiecki. Zadecydował on o przerzuceniu się moim z rybactwa do Instytutu. Cała działalność Instytutu przed wojną została pomyślana przeze mnie jako walka z niemiecką koncepcją geopolityki jako odrębnej nauki. Udało się nam podważyć jeszcze przed wojną wpływy geopolityki w świecie naukowym i przeciwstawić jej koncepcje źródłowych badań w dziedzinie historii, geografii i nauk społeczno-gospodarczych. Po wojnie sprawy niemieckie odeszły z Instytutu Bałtyckiego, lecz osobiście w dalszym ciągu śledzę prace z tego zakresu i gromadzę materiały m. in. do zagadnienia pokojowej współpracy gospodarczo-komunikacyjnej Polski i Niemiec. Atmosfera w Polsce w wyniku okupacji i pod wpływem barbarzyństwa niemieckiego wciąż jeszcze nie sprzyja obiektywnemu rozważaniu tych zagadnień. Nie zgadzam się pod tym względem z ogólną tendencją przemilczania i mam nadzieję, że pod tym względem sytuacja wkrótce ulegnie zmianom. Utwierdza mnie w tym przekonaniu fakt, że moja odpowiedź na zeszłoroczną ankietę w „Świecie i Polsce" napisana pod pseudonimem Józefa Zmyślonego, uzyskała najwyższe odznaczenie.

— *Jeszcze na zakończenie — jakie prace wydał Pan w tym trzecim okresie swej działalności?*

— Sześć prac, a to: *„Zagadnienia żeglugi morskiej"* (1933), *„Nasz stosunek do Gdańska" (1933), „Ekspansja morska czy autarkia"* (1935), *„Organizacja szkolnictwa wyższego"* (1936), *„Antynomie w gospodarce morskiej"* (1937) i *„Neutralność Skandynawii"* (1937). Poza tym około 100 artykułów i rozpraw w Polsce i za granicą, m. in. w przeddzień wojny w zbiorowym wydawnictwie amerykańskim „The equilibrium in the Baltic" artykuł p. t. „Contemporary World Politiks".

Rozmowę przeprowadził

Stanisław Telega



Stanisław Roliez: Statki Karola Burgundzkiego — 1450

Notatki szczecińskie

Wieczory autorskie w Szczecinie nie należą do rzadkości. Rzadkością natomiast są dyskusje na tych wieczorach. Z tego względu zarówno burzliwa dyskusja na wieczorze autorskim Tad. Borowskiego, autora „Pożegnania z Marią", jak i jej oddźwięk w jednym z pism szczecińskich zmuszają do zajęcia się tą sprawą.

Dyskusja dotyczyła wprawdzie całokształtu twórczości Borowskiego, toczyła się jednak głównie wokół „Pożegnania z Marią". Wiadomo — w książce tej postawił Borowski „kropkę nad i" naszej martyrologicznej literatury obozowej. Nikt z dyskutujących nie przeczył, że jako obraz deprawacji moralnej, do której doprowadza człowieka **system obozu koncentracyjnego, jest to książka świetna.** Jako jeden z zabierających głos przytoczyłem tak właśnie sformułowaną opinię „Kuźnicy" (Nr 39, 1948). Ale na tym kończy się, według mnie, świetność książki Borowskiego, a zaczyna jej druga, obosieczna strona. Rozwinąłem tą myśl idąc po linii sugestii K. Wyki, zawartych w jego recenzji w **„Odrodzeniu" (nr 23, 1948 r.).** Wyka wyraźnie mówi o naturalistycznej z pozoru, **ocierającej się o granice cynizmu przenikliwości spojrzenia,** (Borowskiego), **które dostrzegając najgorsze fakty, nie dostrzega form psychicznej i moralnej obrony przed nimi".** Wyka sformułował tu dość ostrożnie swój sąd, który gdzie indziej, mianowicie w „Twórczości" (nr 4, 1946 r.) wyraził wcale niedwuznacznie pisząc: **„Opowiadaniom** (Borowskiego) **brakuje stanowczego przeciwstawienia się złu ....** (Dlatego) **nie możemy się solidaryzować z sensem moralnym tych utworów".** Ostatnio zaś w „Nowinach literackich" (Nr 48, 1943) nazwano wcale wyraźnie opowiadania Borowskiego **„książką obosieczną".**

Zastrzeżenia tych pism, a przede wszystkim tak wybitnego krytyka, jakim jest Wyka, wynikały niewątpliwie z faktu bardzo niebezpiecznego **zwężenia tematycznego** opowiadań Borowskiego, które, według mnie, zacierają pewne granice dostrzegalności tego, co jest świadomą prowokacją moralną autora a granicą prawdy.

Dwóch innych dyskutujących (Karpowicz i Lachnitt) szło mniej więcej po tej samej linii zastrzeżeń, wykazując te niebezpieczeństwa w dalszej twórczości Borowskiego (w „Kamiennym świecie" i dwóch opowiadaniach, czytanych na wieczorze).

Trzech innych dyskutujących przeciwstawiało się temu stanowisku, przytaczając mniej lub więcej mocne argumenty, w których nie brakło m. in. porównania Borowskiego z Szołochowem.

Stanisław Telega

UWAGA!

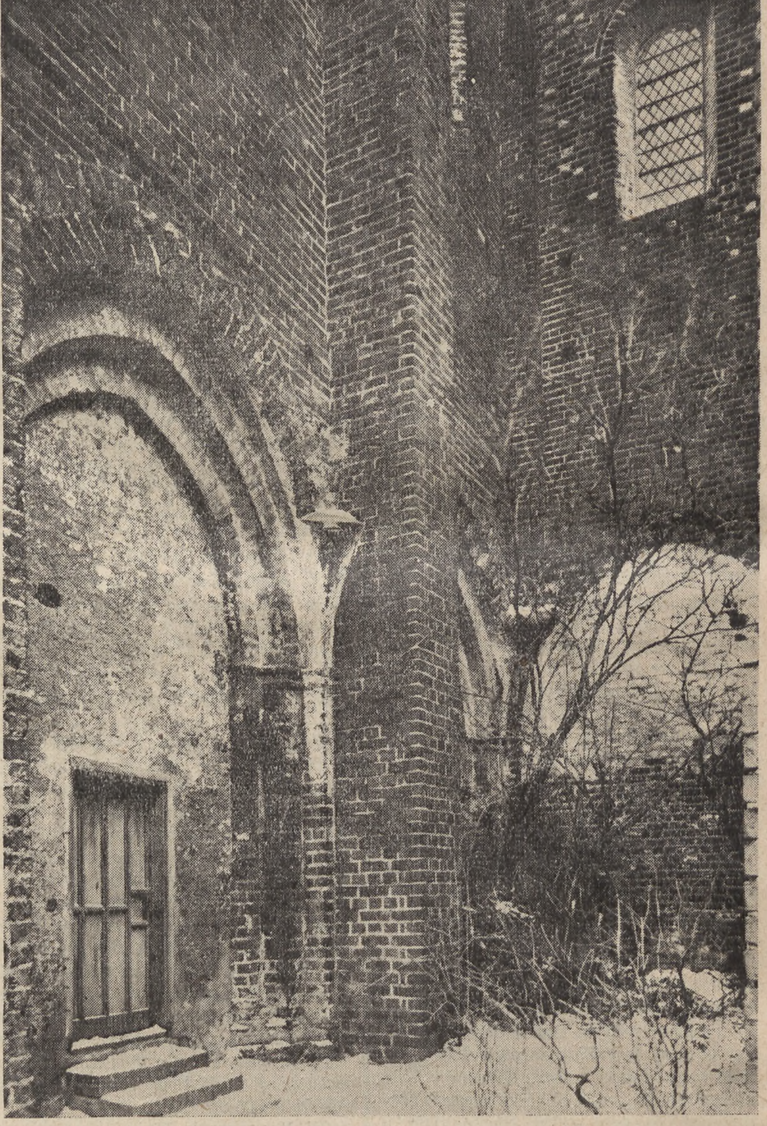
Następny numer „Odry" z datą 9 stycznia 1949 ukaże się za dwa tygodnie.

ZYGFRYD SAWKO

Szczecin ruchliwy

Śpiew płynie ulicami. Robotniczy dzień.
Sygnały aut, tramwajów w jutro odchodzą.
Wczoraj — to wiersz zaczęty, liry dźwięk,
co drga.
A oto sprężystym krokiem idzie młodzież;
Raz — dwa, raz — dwa. —
Kierunek — port
Krople dżdżu wyprzedzają dzwonki tramwajowe,
cieszy ruch na ulicach. Tor
mojego wiersza dodzwoni Szczecin w rozbudowie.
Beze mnie nie skończą. Cieszy ruch.
Mechanicy tłumią smarem dźwigów skrzyp.
Lekkie skrzydła much
wniosły z ulicy wieczór wczorajszy przez okno.
W alejach woń lip.
Rany Szczecina goję — gdzie ręką dotknę.

Klasztor z kaprysu śledzi



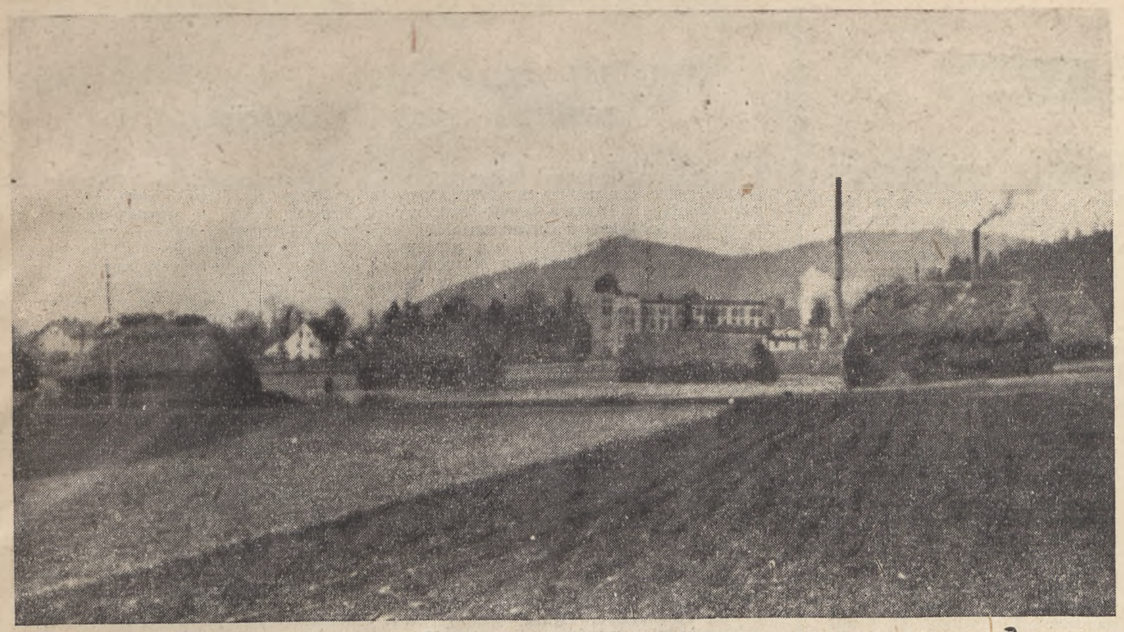


Powyższe zdjęcia przedstawiają 2 fragmenty kościoła w Kolbaczu na Pomorzu Zachodnim, o którym ciekawy artykuł znanego już naszym Czytelnikom z doskonałych reportaży Jarosława Rogali zamieścimy w następnym numerze.

Opera Robotnicza



Opera Robotnicza przy OKZZ we Wrocławiu wystawia „Flisa" Stanisława Moniuszki z baletem z Wierciaka-juniora



Typowy krajobraz przemysłowego rejonu kłodzkiego, o którym mówi reportaż osiadłego tu Henryka Worcella. Por. „Koło Kłodzka kwitnie len" na stronie 1 niniejszego numeru.

Niesforny kochanek muz

Dokończenie ze str. 5

ną moją krew. Uspokójcie się, bo kocham ojczyznę nie mniej od was. Dla tej właśnie miłości przeżyłem 13 lat na wygnaniu, dla tej miłości na wygnanie powracam, może na zawsze... Jestem przyjacielem... wszystkich ludzi rozumnych i dobrych...". Czy tak pisze ktoś, kto pała nienawiścią do wszystkiego co niemieckie? Chyba nie. Co się zaś tyczy „owych materialnych i duchowych sił, które — zdaniem Bartelsa — gwarantują przyszłość Niemiec", a według Heinego stanowiły zasadnicze tej przyszłości zagrożenie, to zostały one w „Baśni" rzeczywiście i dosłownie zmieszane z błotem.

W Hamburgu poeta spotyka bowiem w dzielnicy prostytutek uosobienie miasta, boginię Hammonię, która zabiera go do swego pokoju i pozwala mu ujrzeć w źle pachnącym naczyniu złowróżbną, szaleńczą i śmierdzącą „juchtą i starą kapustą" przyszłość Niemiec. Nie dostaje się wszystkim: Pruskiemu wojsku, [illegible], królowi, który jest zgoła niepotrzebny, dawnym cesarzom, poetom starym i nowym, miejscom uświęconym tradycją, mieszczanom, a nawet niemieckim Żydom. „Baśń Zimowa" to radykalna odtrutka na fałszywy patos, to zrzucenie pięknej maski z bogów, bożków i półbożków z narodowego nieba. Istna rzeź w Walhalli godna Arystofanesa.

Protest i nadzieja

Po tych satyrycznych poematach przyszła — zdaje się dla samego Heinego dość nieoczekiwanie — kolej na poezję w ścisłym tego słowa znaczeniu. W „Nowych wierszach" (1844) poeta wzniósł się na takie wyżyny, że nawet Kummer musi przyznać, iż szereg z nich „zalicza się do pereł naszej liryki i — dodaje — byłoby niesprawiedliwością również w nich upatrywać jedynie „robotę", pozę i zakłamanie." Ale Heine ujmujący się za ludzką godnością i wolnością i tu dochodzi do głosu, [illegible]. W „Śląskich Tkaczach" („Die schlesischen Weber") ludzie przy krosnach przędą całun śmiertelny dla Niemiec i śpiewają [illegible] pieśń, pełną przekleństw pod adresem bezlitosnego „króla bogatych", „fałszywej ojczyzny" i fabrykantów, pieśń złowróżbną, będącą „pierwszym przejmującym oskarżeniem społecznym w nowoczesnej poezji" (Pfeiffer: „Der Chevalier und Lazarus", Tagesspiegel 13. 12. 47). Temat przyszłości Niemiec przewija się jeszcze w „Tannhäuser" i w często obecnie w Niemczech cytowanych „Nachtgedanken", zaczynających się od słów: „Denk ich an Deutschland in der Nacht, so bin ich um den Schlaf gebracht..." (co w wolnym przekładzie brzmi: „Gdy myślę o Niemczech najdzie mnie nocą, sen pierzcha spłoszony myśli przemocą...").

W chwili wybuchu rewolucji 1848 roku Heine sparaliżowany i złożony (choroba rdzenia pacierzowego) jest już przykuty do łoża, z którego nie miał wstać do końca życia, zdany całkowicie na opiekę żony (w r. 1834 ożenił się z prostą dziewczyną, Crescence Eugenie Mirat). Mimo to entuzjazmuje się jak młodzieniec wielkim porywem wolności, który przeszedł przez Europę i przejmuje się do głębi ostatecznym zwycięstwem reakcji. Rozczarowanie z nieudania się rewolucji objawi się potem w „Ostatnich wierszach" (cz. II „Romanzero", 1851) zdwojoną porcją gorzkiego sarkazmu n. p. w odniesieniu do „osłów z wyboru" tj. Niemców, którzy dumni ze swej czystej oślej rasy chcą założyć wielkie ośle państwo, gdzie tylko osioł będzie rozkazywać wiernym oślim poddanym. [illegible] jest pełen wiary w nadchodzące czasy „kiedy to nareszcie wypchnie się kolbami z świątyni ludzkości monarchów i arystokratów, o ile sami nie zechcą ustąpić" (wiersz pt. „Kobes I").

Od Enfantina do Marxa

Z napisanych w ostatnich latach przed śmiercią dzieł, z których pod względem artystycznym na pierwszy plan wybijają się „Pieśni Łazarzowe", najważniejsze są dla nas „Wyznania" („Geständnisse", 1854) i przedmowa do francuskiego wydania „Lutecji" (1855). Dla odpowiedniego zrozumienia poruszonych tam problemów musimy się nieco cofnąć w naszym chronologicznym ujęciu tematu.

Heine przyjechawszy w r. 1831 do Paryża przyłączył się zrazu do saint-simonistów, bo podzielał szczerze powagę, z jaką Enfantin i Bazard pragnęli uchronić masy przed wyzyskiem. Ale zrażony niebawem „gminy" i śmiesznością przyjętych w niej uroczystych rytuałów, Heine zaczął poszukiwać ruchu, który by mu bardziej odpowiadał. Poznał zwolenników Fouriera, Cabeta, Proudhona, Ledru-Rollina i L. Blanca, nie wiążąc się jednak bliżej z żadnym kierunkiem. „Dostrzegał — jak pisze W. Harrich (Tägliche Rundschau 13. 12. 47) — w tym chrześcijańskim kłębowisku prądów i nastrojów nazbyt wiele utopii, pomieszania pojęć i głupoty." [illegible]

Wiarę w racjonalną myśl postępową wróciła Heinemu dopiero młody Karol Marx, który zjawił się w Paryżu w r. 1843 i jako jedyny w pełni aprobował książkę przeciwko Ludwikowi Börne. Między poetą a twórcą naukowego socjalizmu wywiązała się niebawem bliska przyjaźń. Marx miał przy tym zrozumienie dla politycznych wahań i braku naukowej podbudowy myśli Heinego, zdając sobie sprawę, że poeci są szczególnym gatunkiem ludzi, podlegającym innym prawom. Można jednak powiedzieć, że mimo różnego w naturze rzeczy sposobu podchodzenia do zagadnień, Marx i Heine spotykali się ciągle na wyższej ideologicznej płaszczyźnie. Uwidoczniło się to szczególnie w r. 1844, kiedy Marx pisze „Krytykę heglowskiej filozofii prawa" i „Krytyczne marginalia", kładąc zasadnicze podwaliny pod gmach swojej teorii, a Heine rzuca „pierwsze przejmujące oskarżenie społeczne w nowoczesnej poezji", tworząc „Tkaczy". Na ten sam rok przypada również poznanie się Heinego z Fryderykiem Engelsem, który go sławił potem w artykule umieszczonym w londyńskim piśmie „New Moral World" (13. XII. 1844), jako „największego ze wszystkich żyjących poetów niemieckich" i dzielnego „głosiciela socjalizmu". Engels przełożył poza tym jeden z wierszy Heinego na język angielski.

Komuniści, słowiki i róże

Niezaradność i rozbicie [illegible] z jednej strony a rozwój wypadków w latach trzydziestych i czterdziestych z drugiej strony przekonały Heinego, że przeprowadzenia istotnych reform społecznych nie można oczekiwać ani od umiarkowanej lewicy, ani tym bardziej od liberalnego mieszczaństwa, tej „arystokracji bourgeoise", jak ją nazywał. [illegible] „Mniej lub więcej tajni przywódcy niemieckich komunistów — pisał w „Wyznaniach" — są wielkimi logikami, [illegible] i są to bez wątpienia najzdolniejsze głowy i najenergiczniejsze charaktery w Niemczech. Ci doktorzy rewolucji [illegible] są jedynymi żywotnymi ludźmi w Niemczech i do nich należy przyszłość. Wszystkie inne partie i ich niezaradni przedstawiciele są martwi, kompletnie martwi i pogrzebani pod kopułą kościoła św. Pawła w Frankfurcie. Nie daję tu wyrazu ani pragnieniom, ani obawom, lecz stwierdzam fakty, mówię prawdę."

To ostatnie zdanie jest znamienne. Nie można bowiem zaprzeczyć, że stosunek Heinego do nowego ruchu był wyraźnie ambiwalentny (co dobrze ukazał J. Stern, Neue Welt nr 23 — 1947). O ile wspólnie z nim odczuwał niechęć do [illegible], o tyle jako poeta i artysta obawiał się rządów proletariatu. Obawy te dotyczyły przede wszystkim dziedziny najbardziej mu bliskiej, bo sztuki, o szczególności poezji. „Spracowanymi rękoma — skarży się we francuskiej przedmowie do „Lutecji" — potłuką one (tzn. proletariusze) bezlitośnie marmurowe rzeźby, połamią piękno, tak drogie memu sercu... wykarczują wawrzynowe gaje i zasadzą w nich miejsce kartofle. Lilie, które nie prządą, a jednak są tak piękne, jak król Salomon w całej swej okazałości, zostaną wyrwane z gruntu społeczeństwa, o ile nie zechcą uchwycić się do kołowrotka. Róże, te leniwe kochanki słowików, dosięgnie ten sam los, a słowiki, śpiewaki bezużyteczne wypędzi się precz, a moja „Księga Pieśni" posłuży kramarzowi do robienia torebek, w które nasypie kawy lub tabaki dla starych kobiet przyszłości. Ach! Przewiduję to wszystko i ogarnia mnie niewymowny smutek, gdy pomyślę o zagładzie, którą zwycięski proletariat zagrozi moim wierszom. Zejdą one do grobu wraz z całym starym światem romantycznym..."

Jeżeli przypomnimy choćby owe 500.000 egz. nakładu osiągnięte przez zbiorowe wydanie dzieł poety w ZSRR podczas wojny, to nie trudno się przekonać, jak gruntownie się Heine w tym wypadku pomylił. Rzeczywiste niebezpieczeństwo zagroziło natomiast „Księdze Pieśni" ze strony „teutomanów". Hitlerowcy nie zawijali w nią nawet śledzi, ale oddali ją po prostu na pastwę płomieniom i popiół rozsypali we wszystkie strony świata, by wszelki ślad po niej zaginął.

Niech się wali stary świat!

Ale Heine, mimo zastrzeżeń i mimo [illegible] przynależności do mieszczaństwa świata umiał się jednak wznieść ponad sferę swych najbliższych umiłowań. Drżąc o róże i słowiki, o integralność poezji w epoce zwycięskiego proletariatu, zdobył się w końcu na najwspanialsze zdania: „Stare społeczeństwo zostało oddawna osądzone i skazane. Niech dosięgnie go sprawiedliwość! Niech się wali stary świat, w którym niewinność ginęła, egoizm prosperował, gdzie człowiek głodził [illegible]. Niech zostaną zniszczone od fundamentów owe pobielane groby, w których roiło się kłamstwo i niesprawiedliwość..." (Przedmowa do „Lutecji").

Krótko zaś przed śmiercią Heine tak jeszcze raz konkluduje [illegible] z r. 1815: „Przez całe życie napawali mnie wstrętem, przez całe życie ich zwalczałem i teraz, gdy miecz wypada z ręki umierającego pociesza mnie przekonanie, że komunizm... ich dobije. I na pewno nie będzie to uderzenie maczugą, lecz [illegible] rozdepcze, tak jak się rozdeptuje nędzne robactwo..."

„Dieu me pardonnera, car c'est son métier"

Heine życzył sobie, by położyć mu na grobie nie lirę, lecz miecz, bo był „dobrym żołnierzem ludzkości w walce o wolność". Chciał, by niemieccy poeci traktowali odtąd swe dzieło jak służbę, jak fanfarę budzącą naród, jak grom uderzający we wszystkich gnębicieli (wiersz pt. „Tendencja"). „Nie prowadzili oni — pisał o wielkich twórcach przeszłości, przeciwstawiając ich romantykom (cyt. z art. T. Rilli, Berliner Zeitung 12. XII. 1947) — egoistycznie izolowanego życia w sztuce, zamykając hermetycznie swą poetycką duszę przed wielką nędzą i wielkimi radościami swoich czasów. Przeciwnie, ich dzieła były tylko [illegible] odbiciem czasów, w których żyli, a oni sami byli pełnymi ludźmi... Nie oddzielali sztuki od polityki dnia... Ajschylos stworzył „Persów" z tym samym poczuciem prawdy, z którym przecież walczył pod Maratonem, a Dante pisał swą „Komedię" nie jako poeta rymujący na zamówienie, ale jako [illegible]. [illegible] nad zmierzchem wolności."

[illegible] trudno oczywiście nie przyznać racji [illegible] („Co robią Niemcy" Odra nr 3 — 1948), że był on „istną mozaiką uczuć i tendencji". [illegible]

[illegible]

Umarł 17. II. 1856 r. ze słowami: „Dieu me pardonnera, car c'est son métier".

Egon Napanowski.

*) Przekład Adama Konopnickiego Wydawca 1929. Niestety tłumaczenie samej „Baśni" jest tak skandaliczne, że absolutnie nie nadaje się do użytku. Wydanie dzieł Heinego w przekładzie dokonanym przez ks. St. Lempickiego byłoby naprawdę bardzo pożyteczne.

Życiorysy miast

Końskie czaszki pod stopami wczasowiczów

Właściwie są trzy Szklarskie Poręby, Dolna, Środkowa i Górna. Ciągną się wydłużonym pasem, poprzez wzgórza przyodziane smrekami, od których na całą okolicę kładzie się cień błękitnawy. Cień ten jednak nie tłumi bynajmniej blasków słońca rozsianych po zboczach. Rozrzuconych po dachach will szczodrą dłonią sprzyjającej pogody.

Cóż właściwie można powiedzieć o dzisiejszej Szklarskiej Porębie. Bardzo wiele i bardzo mało. Bardzo wiele, bo malowniczość jej położenia wśród gór przyciągała przez lat dziesiątki ludzi wrażliwych na uroki przyrody. I tak samo przyciąga ich dzisiaj. Szklarska jest rajem wczasowiczów, urlopowiczów, młodzieży narciarskiej i szkolnej. Zimą barwne grupki narciarzy ciągną ku Śnieżce i Śnieżnym Jamom, wzdłuż polsko-czeskiej granicy, latem zbocza smrekowe rozbrzmiewają młodymi głosami opalonych, radosnych ludzi. I tu również jak w innych miejscowościach kuracyjno-uzdrowiskowych można się przekonać raz jeszcze, jak wspaniałym osiągnięciem socjalnym jest Akcja Wczasów.

W cieniach tryskających pod niebo smreków, pod nasłonecznionymi wzgórzami, w cieniach domków przebiegających wzdłuż pagórków i wzdłuż dolinek jakżeż trudno dzisiaj odnaleźć ślady historii i baśni. Baśń to tylko ten „Liczyrzepa", zgermanizowany do cna, obcy, nieomal wrogi, którego romantyczną historię w cyklu słabych artystycznie obrazów opowiedział mieszkający tu na początku naszego stulecia Hermann Heidrich, malarz niemiecki. Zwiedziłem tę ponurą willę Heidricha w końcu roku 1946 i pamiętam jak mnie poraził swą starogermańską obcością jej styl. Jej sute przyozdobienia prawdziwymi czaszkami końskimi jak w jakiejś germańskiej gontynie.

Historia zaś opowiada o Joanitach, którzy w końcu XIII stulecia objęli w posiadanie Cieplice i 100 włók gruntu należących do dzisiejszej Szklarskiej Poręby. Wśród osadników pojawili się wówczas hutnicy szkła i potworzyli w pobliskich lasach wyspy swych rzemieślniczych osad. Fakt ten zadecydował o przyszłości Szklarskiej Poręby i jego ostatecznym następstwem są kryształowe cacka, wytwarzane dziś przez polskiego hutnika, takie na przykład jak te, które mieliśmy możność oglądać na Wystawie Ziem Odzyskanych w lipcu, sierpniu, wrześniu i październiku 1948 roku.

Średniowieczne osiedla hutników ciągnęły się od Dolnej Poręby aż po południowy wierzchołek ponad Izerą. Główna huta Szklarskiej Poręby założona została w dobie burzliwego rozwoju kapitalistycznego przemysłu i doczekała się uspołecznienia dopiero dziś. Historia Szklarskiej Poręby jest w swych głównych zarysach częścią ogólnej historii rozwoju gospodarczego Dolnego Śląska. W sprawach politycznych, w przeszłości nie zaszedł tu żaden fakt o poważniejszym znaczeniu. Możemy jedynie zanotować na marginesie, że po bitwie pod Jeną zajęły ją wojska napoleońskie.

Była Szklarska Poręba natomiast widownią długich zaciętych sporów katolicyzmu z protestantyzmem. W wieku XVI zwyciężył ten protestantyzm. Wielka huta w Szklarskiej Porębie obdarzona została w roku 1644 — tym przywilejem cesarskim. Przedtem jeszcze Szaffgocze sprowadzili tu nowych hutników. Ale czas rozkwitu gospodarczego zakończył się jednak w czasie, kiedy po Wojnach Śląskich Szklarska przeszła pod panowanie Prusaków. Ponownie zaczęła rozkwitać dopiero na początku XIX stulecia. Rozkwit ten jednak odbywał się bardzo powoli.

Obrzeżone lasami osiedle wspina się pod górę, wzdłuż rzeki, kędy w porywistej głębinie trzepocą się i śmigają pstrągi, tanecznice górskich potoków. W tej wodzie przegląda się las, sięgając zielonymi ścianami bliskiego, jasnego dna. Jakżeż lichym artystą był Hermann Heidrich, skoro żyjąc w tak pięknym zakątku nie zauważył tych ciemnych, aksamitnych zieleni, tych słonecznych plam i błysków na wodzie i tych chłodnych cieni wśród skał, a główny swój artystyczny wysiłek poświęcił uplastycznieniu legendy o „liczyrzepie", którego całkowicie zatopił w tępych, prawie monachijskich walorach, bez światła, bez blasków, bez słońca. Hermann Heidrich, Hauptmannowie Henryk i Gerhart, wreszcie zaś Wilhelm Boelsche, to byli ci wielcy Niemcy Szklarskiej Poręby. Z nich ostatni, znakomity przyrodnik biolog i filozof przyrody, był postacią zaiste pociągającą. Życie tego rzadkiego w plemieniu zaborców i niszczycieli miłośnika natury upłynęło w ciszy pracowni, gdzie pisał swe liczne dzieła, preparował z niesłychaną precyzją okazy drobnych zwierząt i roślin. Sądzę, że ta praca umiłowana dawała mu wielką radość.

Dzisiaj w Szklarskiej Porębie mieszka Wlastimil Hoffman. Znakomity artysta polski z długich wędrówek po świecie, w które rzuciła go wojna, przywiózł swą niestłumioną nostalgię i gorące pragnienie wytrwałej pracy dla Polski i dla człowieczeństwa.

Po wojnie, która jednak zaoszczędziła Szklarską, nastąpiła epoka przemian. Tak jak wszędzie na Ziemiach Zachodnich i tu zaszły głębokie zmiany. Bogate, lecz niegustowne wille plutokratów niemieckich pozajmowali Polacy. Powstały domy wypoczynkowe i zakłady uzdrowiskowe dla świata pracy. Akcja wczasów i tu jak wszędzie zatoczyła szerokie koła. Chodzi jednak o coś niesłychanie ważnego. Repolonizacja nie może ograniczyć się do mechanicznej zmiany nazw ulic czy napisów na ścianach. Może to, co tu piszę, jest oparte wyłącznie na jakimś subiektywnym wrażeniu, ale tym niemniej odczucie owe musi być wszak oparte na jakichś, może tylko instynktownych przesłankach. Trudno mi oprzeć się myśli, że duch wkorzenionej głęboko w to górskie podglebie niemczyzny nie ulotnił się ze Szklarskiej Poręby. Może jest to sprawa owej architektury willowej, odbiegającej daleko od polskich wzorów, może doznanie to spłynęło z widoku owej willi Heidricha, przystrojonej końskimi czaszkami. Trudno mi dzisiaj określić jakich środków należy użyć celem przezwyciężenia tej germańskiej aury. Sprawa pozostaje otwarta i aktualna.

Tadeusz Zelenay

„Pasja życia"

Irving Stone: Pasja życia. Spółdzielnia Wydawn. „Wiedza" — Warszawa — 1948.

Gdybyśmy chcieli po zapoznaniu się z książką Irving Stone'a o Van Goghu przytoczyć na tym miejscu choć jedną dosłowną wypowiedź wielkiego artysty, bylibyśmy w nielada kłopocie. Bo oto na blisko 500 stronach autor przemawia do nas słowami Gogha, nie dając nam równocześnie wiary w ich prawdziwość. — „Dialogi są fikcyjne; kilka ustępów książki jest czystym wymysłem" — czytamy we wstępie. To uczciwe stwierdzenie faktu i uczciwe również określenie książki jako „powieści na tle życia Van Gogha" nie może nas pocieszyć. Wolelibyśmy biografię mniej może zręcznie napisaną ale bardziej prawdziwą, bez nadmiaru „robionego" autentyzmu. Przez niekończące się dialogi autor łatwiej być może nawiązuje kontakt z szerokim ogółem czytelników lecz czytelnikowi bardziej wyrobionemu odbiera smak i nie pozwala ocenić książki nawet tak, jak ona na to zasługuje. Nie ulega bowiem wątpliwości, że autor zadał sobie ogromny trud aby postać jednego z najwspanialszych malarzy świata przedstawić we właściwym świetle. (Głównym źródłem z którego autor czerpał, były „Listy Vincenta van Gogha do jego brata Thea"). I szkoda zatem że zebrane materiały biograficzne wykorzystane zostały w tej, a nie innej formie. Same w sobie są one jednak tak interesujące, że mimo to porwać muszą i poruszyć do głębi każdego.

Dzieje Vincentego van Gogha, sławnego neoimpresjonisty holenderskiego, żyjącego w latach 1853—1890 — to wymowny obraz walki ducha twórczego o jak najistotniejsze spełnienie swego przeznaczenia. Pasja dawania ze siebie tego co najlepsze, objawiła się w Van Goghu jeszcze wówczas, gdy nie odkrył on w sobie artysty i wiedziony ideą służenia biednym, chorym i zdeptanym przez życie oddawał się w belgijskim okręgu górniczym Borinage prawdziwie chrześcijańskiemu kaznodziejstwu, mającemu swe pełne poparcie w akcji humanitarnej. Jedna to z najpiękniejszych kart żywota ludzkiego która w pełni objawia szlachetność serca artysty, beznadziejnie walczącego o wiarę w sprawiedliwość społeczną. Owa szlachetność bijąca z całej twórczości Gogha, poświęconej głównie pracy i niedoli człowieka prostego, nie oceniona została pozytywnie w jego epoce. Szkice górnicze z Borinage czy obrazy malujące kołowrót dnia powszedniego na wsi były za mało gładkie i wytworne dla ówczesnych „znawców" rysunku i malarstwa. W ciągu całego swego życia Gogh, mimo pełnej ofiarności opieki swego brata Thea — handlarza obrazów w sławnej firmie Goupil sprzedał tylko jedno swoje dzieło. Tak więc nie mogąc zarobić ani grosza na swoje życie, zyskiwał miano darmozjada, próżniaka i człowieka bez ambicji, wyzyskującego dobroć Thea który go utrzymywał. Irving Stone w książce swej uwydatnił rozdarcie wewnętrzne Gogha, wypływające z niemożności usamodzielnienia się w życiu. Żałować tylko należy, że Stone licząc się jedynie z czytelnikami całkowicie uświadomionymi, co do wielkości Van Gogha, nie skomentował wyraźniej (chociażby w jakimś epilogu) niedocenionej za życia Gogha wartości jego dzieła. Bo przecież z racji swojej przystępności i z uwagi na swe zalety popularyzatorskie książka Irving Stone'a trafi z pewnością do rąk najszerszych rzesz czytelników. Ze znakomitą plastycznością autor przedstawił nam, zato rzecz najważniejszą — pasję twórczą artysty, dla którego proces twórczy był koniecznością życiową — jego samokształcenie zmaganie się z problemami technicznymi, z opornością tworzywa i nieustanne poszukiwanie nowych środków artystycznych, celem jak najpełniejszego wypowiedzenia się w sztuce. — „Usiłował nie oddawać wiernie tego, co widziały oczy; używał raczej farb dowolnie, aby z większą siłą wyrazić siebie i to co czuł. Objawiła mu się prawda tego co mówił Pissarro w Paryżu: Malarz musi przesadzić śmiało efekty, wołane barwą, bądź to w harmonii, bądź w dysonansie". W przedmowie Maupassante'a do „Pierre et Jean" znalazł podobną myśl: „Artysta ma prawo przesadzić, ma prawo stworzyć świat piękniejszy prostszy i bardziej kojący niż nasz".

Spośród 9-ciu ksiąg na które autor podzielił swą powieść, opisując kolejno pobyt Van Gogha w Londynie, Borinage Etten Hadze, Nuenen, Paryżu, Arles, St. Remy i Auvers, 8 ksiąg to znaczy wszystkie z wyjątkiem jednej (pierwszej) mówią o męce twórczej artysty genialnego a przecież całkowicie w swojej epoce nieuznanego, na którego wielkości nie poznał się nawet jego przyjaciel, sławny malarz Gauguin artysty, który doczekał się za życia tylko 1 pozytywnej recenzji. To, że Van Gogha nie załamały ani nędza — nieodłączna towarzyszka jego życia, ani brak odpowiedniej atmosfery twórczej, to, że mimo wszelkich przeciwieństw pracował twórczo od rana do zmierzchu, świadczy najwymowniej, jak wiele miał on do powiedzenia i jak mrówczo dążył on do doskonałości. — „Był niezadowolony ze siebie i wszystkiego co tworzył, ale tliła w nim iskierka nadziei, każąca wierzyć, że w końcu da jednak rzeczy dobre. Niekiedy ta wiara nawet zdawała się złudną fatamorganą. Prawdziwie szczęśliwy był jedynie podczas pracy. Osobistego życia nie miał. Był tylko mechanizmem był ślepo pracującym robotem, któremu dostarczano codziennie żywności, płótna i farby i który wieczorem zwracał za to gotowy obraz... Nie miał już ambicji nie szukał powodzenia. Pracował, bo musiał. Mógł żyć bez żony, dziecka i domu bez miłości, przyjaźni i zdrowia obchodzić się bez stałych dochodów, bez wygody i pożywienia... Lecz nie mógł żyć bez czegoś co było potężniejsze od niego samego, co było jego właściwym życiem — bez siły i zdolności tworzenia." — Tu warto wspomnieć, że Van Gogh doznał wiele bolesnych przeżyć nie zdobył bowiem żadnej z kochanych przez siebie kobiet i nawet ulicznica, której w krytycznym momencie dał u siebie schronienie wraz z dziećmi i którą traktował jak żonę, nie potrafiła odpłacić mu szczęściem gdyż nie chciała dzielić z nim nędzy, z jedyną zaś kobietą która go kochała nie udało mu się również połączyć. Pełne wyrazu są końcowe karty książki, w których autor opisuje tragiczne dzieje choroby wytrącającej artyście pędzel z ręki i gaszącej żarliwe pragnienie wypełnienia pracą twórczą każdej chwili — jego pobyt w zakładzie dla obłąkanych, wyjazd do Auvers pod opiekę dr. Gacheta, najwierniejszego później piewcy jego geniuszu i próbę nowego wzlotu zakończoną samobójstwem — samobójstwem dokonanym w gorzkim poczuciu własnej już nieużyteczności i ciążenia bratu Theo. Pięknym akordem końcowym jest śmierć Thea, który nie mogąc przenieść bólu po utracie ukochanego Vincenta, odszedł w pół roku po nim. Ogromnie ciekawe są fragmenty książki poświęcone przyjaźni Van Gogha ze sławnymi ówczesnymi malarzami, jak: Cezanne Paul Gauguin, Mauve, Toulouse-Lautrec, Seurat, Rousseau i innymi. Przedstawiony sposób ich życia (wiedzionego przeważnie w biedzie) i dysputy na temat sztuki sugestywnie oddają atmosferę ówczesnego świata artystycznego. Oto słowa, jakie autor włożył w usta Van Gogha, artysty, który unieśmiertelnił chłopa brabanckiego, ukazał jego korną uległość, poddanie się wiecznemu, nieodmiennemu porządkowi rzeczy, artysty, który nie miał innej tęsknoty i życzenia, jak to, aby przeżyć dogłębnie najprawdziwszą treść swego kraju i odtworzyć na płótnie krąg chłopskiego istnienia. — „Patrz na ten wąwóz, Paul! Chciałbym, aby odczuto, jaki bezmiar wody spłynął po jego stokach! A gdy portretuję człowieka chciałbym, aby wyczuto utajony nurt jego życia — wszystko, co kiedykolwiek widział, czynił i cierpiał. Do tego, Paul: pola, z których wyrasta zboże, woda, rwąca wąwozem sok winogrona — są w gruncie rzeczy jednym i tym samym. Jedyną jednią i łącznością życia jest rytm — rytm, w którym wszyscy tańczymy: domy, ludzie, kłosy konie, wozy na polach, jabłka woda i słońce. Materia, z której jesteś utkany, będzie jutro krążyła w owocu ponieważ ty i owoc jesteście jednym. Gdy maluję chłopa, harującego w polu, chcę, aby czuto jak chłop wrasta w ziemię, podobnie jak ziarno i jak ziemia wrasta w niego, chcę, aby czuto jak słońce przepływa chłopa, pole zboże, pług i konie, i jak te wszystkie przedmioty przepływają w słońce. Dopiero gdy odczuwa się ów wszechogarniający rytm, rozumie się coś niecoś z życia. To bowiem jest Bogiem." — W autentyczność tych słów przypisanych Van Goghowi, szczerze pragnęlibyśmy wierzyć.

Książkę Irving Stone'a przetłumaczyła Wanda Kragen. W przekładzie tym — na ogół poprawnym — rażą takie wyrażenia, jak: „Domy bramujące ulice były w stylu flamandzkim", „izdebka poddaszna" albo „masywny nos wysklepiony krzywo..."

Wanda Bacewiczówna.

Wspólnota sztuk słowiańskich

Na czoło zagadnień, jakie obecnie nurtują ludzkość wysuwa się problem utrzymania równowagi pomiędzy patosem produkcjonizmu, kultem siły i wytrzymałością fizyczną, a osiągnięciem możliwości do rozwoju duchowego, intelektualnego, uczuciowego — do uświadomienia, że poza celowością materialną istnieje cel wyższy — rozwój duchowy, ujęty w prawa, które kierują postępem człowieczeństwa i decydują o jego istnieniu.

Najsilniejszym oparciem problemu równowagi — pomiędzy potencjonalnością nauki i techniki a rozwojem duchowym, pomiędzy kulturą intelektualną, a kulturą praktyczną mas ludowych — jest wpływ sztuki.

Sztuka przez polot piękna twórczego w całej swej rozpiętości powołaną jest do zwalczania bezdusznego automatyzmu w systemie i życiu ludzi pracy. I nie tylko to. — Sztuka ma jeszcze inne powołanie. Jest ona tym podłożem duchowym, na którym ustalają się najszczersze stosunki pomiędzy ludźmi i narodami.

Jak według Wyspiańskiego tak i według Tołstoja — „Sztuka nie jest przyjemnością, pociechą, lub zabawą. — Jest ona kwiatem cywilizacji". Na tym stanowisku stoją najwyżsi socjologowie Słowiańszczyzny. Według nich nastąpiło pomieszanie pojęć sztuki. „Na miejscu działalności sztuki, która miała na celu oddawanie uczuć szczytnych — stanęła działalność, dążąca do zapewnienia jak największej rozkoszy pewnej grupie społecznej. I z całej ogromnej dziedziny sztuki wydzielono i zaczęto nazywać sztuką to, co dostarcza przyjemności ludziom danej sfery. Nie mówiąc już o następstwach moralnych, jakie dla społeczeństwa europejskiego miało podobne wydzielenie tej dziedziny sztuki i uznanie za sztukę tego, co na taką ocenę nie zasługiwało, stwierdzić musimy, że to zniekształcenie sztuki osłabiło i doprowadziło niemal do zatracenia sztukę samą. Pierwszym następstwem było to, że sztuka pozbawiona została nieskończenie różnolitej i głębokiej treści. Drugim, że mając na względzie małe tylko grono ludzi — sztuka utraciła piękność formy, stała się dziwaczną, niejasną, przestała być szczerą, natomiast stała się zmyśloną, mędrkującą skomplikowaną: W ostatnich czasach nie tylko mglistość, zagadkowość, ciemność i niedostępność, lecz także niedokładność, nieokreśloność, i brak wymowności cechuje tę sztukę."

Sztuka jest organem życia ludzkości. Przenosi ona rozumną świadomość ludzką w dziedzinę uczucia. W naszych czasach ogólną ludzką świadomością jest świadomość braterstwa ludzi. Sztuka ma obowiązek przenosić tę świadomość w dziedzinę uczucia.

W chwili obecnej idea zbratania tworzy nie tylko siłę scalającą pewne odłamy społeczne, ale jest ona najrealniejszym postulatem, hasłem, czy programem w imię celów tak pozytywnych, jak dążność do pokoju. Ta idea zbratania jest najsilniejszą wśród Słowian. Wobec doznanego okrucieństwa podczas wojny — idea ta stanowi o istnieniu Słowian.

W imię tych dwóch problemów — czyli zachowania równowagi pomiędzy cywilizacją materialną a rozwojem duchowym — i w imię idei zbratania Słowiańszczyzny — należało by wspólnymi siłami ze sztuki narodów słowiańskich utworzyć centralny ogólnosłowiański ośrodek artystyczny. Obok zjednoczenia Partii Robotniczych, idea propagandy sztuki i zjednoczenia Słowian na polu sztuki! W dążeniu do tego celu należałoby się zwrócić do przedstawicieli narodów słowiańskich aby wspólnymi siłami zorganizowali i zbudowali Centrum Sztuki Słowiańskiej reprezentowane przez:

1. **Słowiańską Akademię Sztuki** — instytucję wykładową, ujmującą w orbitę swych działań wszystkie odłamy sztuki — a więc literaturę, muzykę, malarstwo, rzeźbę, architekturę, teatr itd. i reprezentowaną przez najwybitniejszych twórców Sztuki Słowiańskiej;
2. Pałac Sztuki Słowiańskiej z salami wystawowymi, pawilonami sztuki poszczególnych narodów, teatrem, operą;
3. Inicjatywę fundacji, nagród, festiwali, bibliotek, przekładów książek na języki obce;
4. Opiekę nad twórczością przez danie możności realizowania najtrudniejszych pomysłów.

Łącząc różne formy, objawiające się w kulturze artystycznej każdego narodu słowiańskiego — **Federacja Dla Spraw Sztuki** miałaby na celu rozpalić życie artystyczne narodów słowiańskich i uczynić ze sztuki pomost zbliżenia nie tylko wśród Słowian — **ale i w stosunku do sztuki światowej** — wzbogacając ją przypływem nowych wartości.

Centrum Sztuki Słowiańskiej, jako niezniszczalny symbol siły ogólnosłowiańskiej, winno by powstać w Warszawie, w mieście najbardziej zniszczonym przez Niemców.

Ludomir Różycki

Pierwsze kroki
na szerokiej drodze

Mógłbym według powszechnie przyjętego szablonu scharakteryzować piękną książkę Tamasi Arona „Abel w puszczy" jako powieść o wyzysku nieletniego w gospodarce kapitalistycznej, o trudnej drodze do uświadomienia sobie przynależności klasowej, wreszcie o jawnym podjęciu walki pod sztandarem proletariatu. Mógłbym, ale nie zrobię tego... Uderza mnie moda, bo inaczej tego nazwać nie można, na pewne słowa, czy całe zwroty powtarzane mechanicznie, które potrafią narzucić czytelnikowi wrażenie monotonii i nudy, na bezmyślne etykietowanie spraw, którym nie tylko powinniśmy poświęcić chwilę uwagi, ale i parę żywszych drgnień serca.

Książka ostatnio wydana przez Spółdzielnię „Wiedza" jest naprawdę warta przeczytania, a co ważniejsze, jest dostępna każdemu, bo i dziecko znajdzie w niej interesujące przygody i rozkoszną lekturę. Abel, bohater powieści, młody chłopiec, syn węgierskiego pastucha, żyje szczęśliwym dziecięcym życiem przy boku matki. Aż pewnego dnia ojciec oddaje go na służbę, wyprowadza i pozostawia samotnego w puszczy. Jest ona dwojaka — bór, w którym mały Abel ma liczyć sągi i sprzedawać drzewo opałowe, dwa — to puszcza ludzka, pierwsze zetknięcie się z życiem pełnym walki i podstępów.

Mały chłopiec zostaje sam w lesie, twarde dzieciństwo nauczyło go wiele, a przede wszystkim gorzkiego, sceptycznego humoru. Gdy życie nabije mu guza, skoro nie ma na czyich kolanach bólu wypłakać, rozciera tylko czoło i drwi przez łzy, ze dał się tak oszukać i podejść. Każdy dzień niesie nowe doświadczenia, uczy cierpliwości i swoistej filozofii. Abel zaczyna ciekawą robinsonadę, samotnie gospodaruje w lesie, rozprawia sam ze sobą, zyskuje pierwszych przyjaciół w zwierzętach. Jest wrażliwy na uroki przyrody, umie podpatrzyć zarówno płochliwe życie lasu, jak i wzruszyć się pięknem zachodu. Wreszcie ofiarowuje swoje serce takim jak on biedakom. Przekonuje się, że oszuści, krzywdziciele, opryszkowie leśni, których pada ofiarą, zostali wepchnięci w życie przestępcze siłami, którym nie mogli się oprzeć. Doświadcza na sobie skutków wyzysku zorganizawanego przez te same siły, a jednak potrafi z humorem wywalczyć sobie prawo nie tylko do życia, ale do śpiewu i śmiechu. Opowieść ani na chwilę nie przygnębia, raczej bawi i wzrusza. Solidarność biedoty, poczucie zjednoczenia tych wszystkich, którym portfel nie przysłonił serca, umacnia w Ablu nadzieję w lepszy świat.

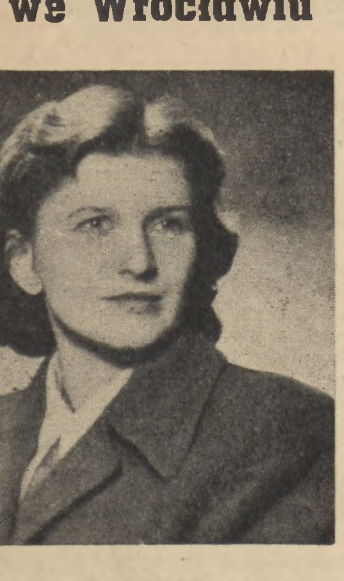
Mały Abel przyrzeka sobie na grobie matki ruszyć szeroką drogą, po której kroczą wszyscy biedacy i ciemiężeni, nieść z nimi sztandar walki.

Przekład Kazimiery Iłłakowiczówny czytamy bez oporów. Mnóstwo dowcipnych dialogów, ciętych sformułowań, często opartych na samej grze słownej, musiało dla tłumaczki stanowić poważną trudność. Korekta przy następnym wydaniu wymagałaby rewizji.

WOJCIECH ŻUKROWSKI

Tamasi Aron: **Abel w puszczy**, wyd. „WIEDZA", przełożyła z węgierskiego Kazimiera Iłłakowiczówna. 1948, str. 247.

Laureatka Zjazdu Historyków we Wrocławiu



Uzupełniając podaną w nrze 45 „Odry" wiadomość o nagrodach naukowych za prace historyczne o tematyce Ziem Odzyskanych, reprodukujemy zdjęcie jeszcze jednej laureatki mianowicie Hanny Matuszewskiej-Ziółkowskiej.

Równocześnie prostujemy imię innego laureata, autora nagrodzonej książki „Dzieje ziemi kłodzkiej". Jest nim dr KAZIMIERZ Ślaski, a nie Bolesław Ślaski, nie żyjący już badacz spraw morskich.

Korespondencja rysunkowa z Berlina





POPŁOCH WŚRÓD REAKCJI BERLIŃSKIEJ

Józef Hegenbarth: Panika w mieście. („Niech mnie pan puści na litość boską, przecież widzi pan, że w sektorze amerykańskim pojawił się już pierwszy Rosjanin")



Józef Hegenbarth: Akcja oczyszczania („Cała robota na nic, jak długo nie mamy żelaznej miotły")



Karol Rössing: Krytyk



Józef Lada: Krytyk

Wśród czasopism

Dawno nie przypominaliśmy na tym miejscu *Twórczości*. Ostatnie dwa numery tego pisma (10 i 11) przypomnieć jednak trzeba, jeśli umknęły czyjejś uwadze.

Zeszyt październikowy wiąże się z dwoma aktualnościami ostatnich miesięcy: ze światowym kongresem intelektualistów we Wrocławiu oraz z miesiącem wymiany kulturalnej polsko-radzieckiej. Kongresowi poświęcone jest obszerne sprawozdanie Kazimierza Wyki „Kolumna, globus i Odra", poza tym numer otwiera tekst uchwalonej we Wrocławiu rezolucji. Ze sprawą drugą łączy się artykuł Józefa Sieradzkiego „Lenin w Polsce", gdzie autor na podstawie egzemplarza książki znajdującej się w Bibliotece Jagiellońskiej i zawierającej marginalne zakreślenia i skąpe uwagi Lenina śledzi bieg jego studiów nad Ludwikiem Feuerbachem. Najobszerniejsza jednak część tego zeszytu *Twórczości* nosi zbiorowy tytuł „Geografia kulturalna roku 1947/48". Redakcja zapragnęła dać tu obraz aktualnej problematyki kulturalnej w poszczególnych środowiskach kraju, a raczej ramy, w których problematyka ta się zamyka, po których przebiega. W rezultacie próba ta przyniosła prócz charakterystyki środowisk kulturalnych wyraźne ustalenie miejsc, gdzie praca kulturalna tętni pełnym życiem i wykazuje tendencje rozwojowe, oraz tych, gdzie praca ta wyraźnie kuleje cierpiąc na zdecydowaną anemię bez większych widoków na szybką poprawę tego stanu rzeczy.

W omówieniach tych Warszawa prezentuje tylko życie teatralne opisane przez Juliana Wołoszynowskiego. Zresztą słusznie, gdyż jej problematyka kulturalna rysuje się jasno ze szpalt naszych codziennych czy też tygodników literackich. Ze spraw krakowskich omówiono teatr (J. A. Szczepański), plastykę (Mieczysław Porębski) i muzykę (R. Haubenstock). Z podobnie obszernym omówieniem spotkał się jeszcze Poznań. Inne środowiska otrzymały już omówienia sumaryczne, nie zawsze kompletne, gdyż zasięg sprawozdania uzależniony był także od zainteresowań sprawozdawcy. Po kolei idą więc sprawozdania z województwa śląsko-dąbrowskiego, z Wrocławia i Dolnego Śląska, z Pomorza lądowego, z Wybrzeża, z regionu świętokrzyskiego i Lublina. Sprawozdania te poprzedza krótki wstęp Kazimierza Wyki, sumujący zawarte w nich spostrzeżenia, uogólniający je i wyprowadzający z nich niektóre wnioski.

Kwestia w ten sposób poruszona na łamach *Twórczości* jest kwestią ogniskowania się życia kulturalnego w kraju, jest kwestią dylematu: centralizacja czy decentralizacja życia kulturalnego. Myślę, że wynik tego dylematu może być tylko jeden: centralizacja planowania, decentralizacja wykonań. Zrobiony przez *Twórczość* przegląd zdaje się jednak wskazywać, że proces ogólnej centralizacji i ściągania sił kulturalnych robi szybkie postępy, że w szybkim tempie posuwa się ogołacanie „terenu", nawet najsilniejszych dotychczas w tym „terenie" ośrodków kulturalnych, z ludzi a częściowo i z instytucji. W parze z entuzjazmem w odbudowie Warszawy idzie entuzjazm ściągania do niej z kraju wszystkiego, co kulturalnie twórcze, bogate, tętniące, aktywne. Od czasu, na którym zamykają się sprawozdania zawarte w *Twórczości*, poczyniło to dalsze postępy. Dla przykładu wymienię choćby fakt, że z nowym sezonem teatralnym Warszawa wchłonęła nową porcję doskonałych sił aktorskich, które poszły tam z wielkich i dobrych teatrów prowincjonalnych na mniejsze, całkiem problematyczne sceny stołeczne. Pielgrzymka przesiedleńcza literatów z kursem na Warszawę, jest w pełnym, nieprzerwanym biegu. Spostrzeżenia te mają zwrócić uwagę na istotne niebezpieczeństwo wysysania z tzw. prowincji sił kulturalnie twórczych i aktywnych organizacyjnie. Niebezpieczeństwo dlatego, że mogą się wyłonić trudności i to poważne, gdy przyjdzie do realizowania nabierających coraz większego rozmachu planów kulturalnych.

Bilans życia kulturalnego w kraju dokonany przez *Twórczość* miał w intencjach redaktora na celu także uświadomienie punktu, w jakim znajdujemy się u progu nowego okresu kulturalnego 1948/49, ustalenie stron ujemnych i pozytywnych. Cel ten w dużej mierze osiągnął. Nieciekawy i niepotrzebny może się on wydawać tylko tym, którzy czują, że siedzą na „pępku", uważają, że nic nam już nie pozostaje tylko z podziwem zadzierać głowy w ich kierunku. W każdym razie tzw. „prowincja" tylko w tym celu istnieje. Poza tym dostarczać jeszcze może materiału do wyniosłej felietonowej krytyki.

Zeszyt 11 *Twórczości* jest hołdem złożonym Xaweremu Dunikowskiemu z okazji wielkiej wystawy krakowskiej i jubileuszu. Nie przekonuje mnie wprawdzie i zbytnio nie zachwyca patetyczny poemat Stefana Flukowskiego o Dunikowskim, ale kto widział wystawę Dunikowskiego w Krakowie i wszedł w ten las wspaniałych rzeźb, ten jednym tchem i z najżywszą satysfakcją przeczyta essay Wyki właśnie pod tytułem „W lesie rzeźb". Po drukowanym w *Odrodzeniu* essayu o genialnym fałszerzu van Meergenie, ten chyba będzie w dotychczasowym dorobku essayistycznym Wyki najlepszy. Może „fachowcy" od plastyki będą się krzywili, że za dużo w tym literatury, ale zarzut ten wynika z tego, że oni sami w swoje oceny „literatury" wprowadzać nie umieją i robią z nich abrakadabrę na użytek wtajemniczonych wyższego stopnia. W essayu Wyki o Dunikowskim ogląda się i przeżywa wystawę jubileuszową, największego naszego rzeźbiarza po raz drugi, przeżywa się może nawet intensywniej niż dane to jest laikowi o niewykształconym oku w zetknięciu z samym dziełem. Wyka tym razem znów zaimponował. Ten essay powinien wyjść osobno opatrzony bogato reprodukcjami rzeźb Dunikowskiego. To byłoby dobre i pożyteczne uczczenie mistrza.

Z tego numeru *Twórczości* nie wolno pominąć zakończenia. Stanowią je trzy recenzje. Są to recenzje laureatów. Mianowicie z okazji niedawnego zjazdu kół polonistycznych rozpisano konkurs dla studentów polonistyki na recenzję literacką. Pierwszą nagrodę na konkursie zdobył Leon Budrecki za recenzję „Pożegnania z Marią" Tadeusza Borowskiego, drugą Antoni Wasilewski za recenzję książki Kazimierza Brandysa „Samson" a drugą równorzędną Zygmunt Lichniak za omówienie działalności pisarskiej Wiecha. Wynik konkursu większej niespodzianki nie przynosi, gdyż nazwiska młodych laureatów są już między nami znane. Budrecki zdobywa sobie pozycję już od przeszło roku zaczynając od „Wsi" i „Kuźnicy". Wysoki poziom nagrodzonych recenzji, ich forma literacka wskazują, że rośnie młode pokolenie dobrych krytyków. A to jest ważny powód do optymizmu. A czytelnikom Wiecha gorąco polecam recenzję Lichniaka, bardzo poważną, bardzo rzeczową i w zasadzie... pozytywną. (Kl)

Premiera Opery Robotniczej

8 grudnia odbyła się w Państwowym Teatrze Dolnośląskim premiera opery Stanisława Moniuszki „Flis" w wykonaniu Opery Robotniczej zorganizowanej przy wrocławskiej O. K. Z. Z.

Pisząc o operze Robotniczej trudno jest recenzentowi zająć odpowiedni punkt widzenia. Musimy zdać sobie sprawę z tego, że byliśmy świadkami spektaklu bez precedensu. Najlepiej uświadomiliśmy to sobie przeczytawszy program Opery Robotniczej. Przy każdym nazwisku wykonawcy znajdujemy określenie jego zawodu i zakładu pracy. Pracownicy Pafawagu, PKP, Fabryki Wodomierzy, Wielkich Maszyn Elektrycznych i Superfosfatu Centralnej Krajalni i Powszechnej Spółdzielni, ślusarze, krawcy, szklarze urzędnicy, studenci, młynarze i nauczyciele we wspólnym wysiłku artystycznym poświęcili przez długie miesiące po kilka godzin dziennie ze swego odpoczynku, by oddać się sztuce. Nie kierowała nimi chęć rozrywki, czy zabawy (bo próby operowe czy baletowe to niejednokrotnie ciężka praca), ale pęd do sztuki, olbrzymia pasja czynnego współuczestniczenia w tworzeniu kultury.

Nie można o „Flisie" Opery Robotniczej pisać jak o teatrze świetlicowym gdyż dzięki długim miesiącom pracy pod doświadczoną ręką dyr. Stanisława Drabika zespół nabrał wielu cech teatru zawodowego, co umożliwiło z jednej strony postawić widowisko na dobrym poziomie artystycznym, z drugiej strony odbiło się ujemnie — zwłaszcza u solistów — na bezpośredniości i szczerości w uzewnętrznianiu uczuć. Ta występująca u niektórych wykonawców „sztampa" aktorską była nie do uniknięcia wobec krótkiego okresu czasu w jakim dyr. Drabik musiał zupełnie surowych ochotników przemienić w śpiewaków operowych. Nie mówiąc już o przekazaniu umiejętności śpiewackich, których nabycie w przeciągu paru miesięcy jest niemożliwe to i przekazywanie umiejętności aktorskich musiało się odbywać przy pomocy gotowych już chwytów, których wykonawcy musieli po prostu krok za krokiem, takt za taktem uczyć się na pamięć, począwszy od chodzenia po scenie.

Nie można również osiągnięć Opery Robotniczej mierzyć miarą stosowaną dla artystów zawodowych, dla których teatr jest codzienną i wyłączną pracą, do wykonywania której (abstrahując od wrodzonego talentu) doszli przez długą naukę i doświadczenie gdyż popełnilibyśmy masę omyłek i wywołali moc nieporozumień. Opera Robotnicza stanie się niezawodnie wspaniałym czynnikiem upowszechnienia kultury operowej. Biorący czynny udział będą najżywszymi propagatorami muzyki operowej — poza tym Opera Robotnicza przybliży do muzyki operowej szerokie masy widzów, którzy oglądając na scenie swych towarzyszy pracy niezawodnie przybiorą jak najszczersze uczuciowe stanowisko.

Dlatego też „Flisa" Opery Robotniczej powinien zobaczyć nie tylko Wrocław czy Dolny Śląsk, ale cała Polska, a nawet powinno się go pokazać poza granicami kraju, gdyż stanie się on legitymacją naszej kultury robotniczej. I to legitymacją jak najlepszą gdyż patrząc na „Flisa" z odpowiedniego punktu widzenia, musimy uznać ten spektakl za niezwykle udane widowisko.

Na pierwszy plan w realizacji „Flisa" wybijają się sceny zbiorowe pełne rozmachu i życia pulsujące szczerością. Są one bezwątpienia czynnikiem najcenniejszym w teatrach ochotniczych, jako środek masowego uczestniczenia. Dyr. Drabik przykładając odpowiednią wagę do strony zespołowej, nie tylko w koncepcji swej sceny zbiorowe doskonale uwypuklił ale dokomponował jeszcze niemą scenę tłumów na ostatnich taktach uwertury, oraz sceny baletowe na zakończenie opery (do zgrabnie dorobionej muzyki przez Zygmunta Wierciaka juniora). Wprowadzony w ten sposób taniec jako drugi (obok chóru) czynnik zespołowego uczestniczenia ubarwił poza tym spektakl i zamknął operę mocnym akordem widowiskowym (nie wchodzę przy tym w zagadnienie: czy można dorabiać do Moniuszki fragmenty obcej muzyki czy też nie).

Wśród solistów, a zapewne też i w chórze, oraz w balecie znajdują się bez wątpienia jednostki, które zetknąwszy się raz ze sceną, obiorą zawodową drogę artystyczną. Mają drogę otwartą życzliwych doradców — decydować o tym powinien jedynie szczery talent. Ale droga do pełnoprawnego artysty jest ciężka i długa, a należałoby się jak najbardziej wystrzegać tworzenia pół-zawodowych gwiazdorów. Bez wątpienia organizatorzy zwracają na to uwagę że Opera Robotnicza nie jest stałym zakładem pracy wykonawców. Każdy z nich jest pracownikiem PKP, Pafawagu czy F-ki Wodomierzy i z tymi zakładami wiąże swoją przyszłość, a w Operze Robotniczej wyżywa swoją tęsknotę do sztuki.

Na zakończenie należą się specjalne słowa uznania dla zawodowców którzy pracą swoją przyczynili się do sukcesu Opery Robotniczej. Dyr. Stanisław Drabik (główny motor i serce Opery Robotniczej) korepetytor Marcin Furmanowicz i dyrygent Oldrich Lapka (dzięki którym strona muzyczna stała na bardzo wysokim poziomie), baletmistrz Xenia Boreńska, twórca oprawy scenicznej prof. St. Jarocki, orkiestra Państwowego Teatru Dolnośląskiego — włożyli olbrzymi ładunek pracy i uczucia w stworzeniu tego jedynego w swoim rodzaju widowiska.

Wojciech Dzieduszycki

Encyklopedia Odry

CUDA INTARSJI

PAWŁOWI JASIENICY.

W czasie działań wojennych na Dolnym Śląsku zburzono wiele historycznych zabytków architektonicznych, o wysokiej wartości artystycznej. Tocząca się fala zniszczeń zniweczyła wiele budowli mających patynę wiekowej kultury, w których bardzo często znajdowały się wyjątkowe dzieła



Intarsja z boazerii ratusza wrocławskiego w roku 1563

rąk rzemieślniczych, o nieprzeciętnej wartości, zajmujące niepośledniie miejsce w historii sztuki.

Ale nie tylko bezpośrednie działanie strategiczne, czy napór Armii Czerwonej na niemieckie siły zbrojne były wyłączną tego przyczyną.

W ostatnich dniach, gdy obręcz sprzymierzonych wojsk coraz bardziej się zaciskała, hitlerjugend podpalała gmachy i w ten sposób dokonywała reszty zniszczenia tego, czego dotąd nie zrobiły bomby, pociski armatnie, miny, czy granaty.

Nie w ostatniej też prawdopodobnie chwili zaczęli „zabezpieczać" dzieła artystów, na prastarych naszych ziemiach piastowskich.

Z takich czy innych powodów zabrano się do wywożenia cennych dzieł sztuki i chowano je w dobre miejsca, skoro w 3 lata po skończeniu wojny wiele rzeczy jeszcze nie znaleziono. Brakuje dotąd również bardzo cennych prac artystów-stolarzy, o których piszą niemieccy historycy sztuki że należały do najwartościowszych pod każdym względem w całych zbiorach.

Do takich należy zaliczyć przed innymi bardzo piękną boazerię w starym ratuszu wrocławskim, gdzie obecnie mieści się Muzeum Historyczne miasta Wrocławia. Znajdował się tam również bardzo kosztowny renesansowy stół rozsuwany.

Boazeria miała datę 1563 (wielka rzadkość na tego rodzaju pracach), a wykonana była z różnych materiałów drzewnych i ozdobiona wspaniałymi intarsjami z różnokolorowych drzew zagranicznych. Jedną z nich widzimy na zdjęciu Nr. 1. Ryciny tutaj zamieszczane, nie oddają niestety tych tak barwnych efektów jakimi w rzeczywistości ich polityrowane płaszczyzny się odznaczały. Intarsje z boazerii, upiększającej ongiś ratusz wrocławski, były datowane o 10 lat wcześniej od tych, które znajdowały się w kościele św. Magdaleny we Wrocławiu dziś nie istniejące, bo świątynia ta leży w gruzach. Można je oglądać już tylko na fotografiach z których tu reprodukujemy jedną. Być może, iż pochodzą one z ręki jednego mistrza lub tego samego warsztatu.

Boazeria zdobiąca salę rady miejskiej miała około 2 m. wysokości, a zakończona była gzymsowiną i rzeźbionymi konsolami (podpórkami). Całe to pokrycie ścian ujęte w ramy w których wypełnienia (wnęki) miały dekoracje intarsjowe z różnych gatunków drzew, posiadających odmienne barwy i usłojowanie. Były tam też bardzo rzadko spotykane intarsje reliefowe (płaskorzeźbione), z których jedna przedstawiała ofiarę Izaaka. Jest sztuką niełada wykonywanie zwykłych intarsji, które w zależności od tego, ile mają mieć kolorów, tyle na raz składa się okleln (fornirów) i nakleiwszy odpowiedni rysunek, wyrzyna się według niego wzór, jaki tenże przedstawia. Podobnie ma się rzecz z reliefową intarsją, z tą tylko różnicą, że do niej muszą być użyte dużo grubsze okleiny lub nawet deseczki z różnokolorowych drewien, aby potem można było wykonać płaskorzeźbioną intarsję.

Reliefową intarsję stosowano najczęściej do płaskorzeźb figuralnych.

Tego rodzaju intarsje bardzo rzadko są wykonywane i niewiele już dzisiaj ich spotkać można. Pochodzi to stąd, że są bardzo kosztowne. Do ich wyrobu nie wystarcza sama znajomość rysunku, konstrukcji światłocienia, ale i anatomii. Kawałki drewna różnych kolorów tak muszą być dobrane co do grubości i wielkości, ażeby po sklejeniu i wyrzeźbieniu grały naturalnymi barwami drzew w odpowiednich miejscach, jak gdyby rzeźby te były polichromowane. Technika ta wymaga prócz talentu, wyszkolenia artystycznego dużej zręczności i wprawy w kilku zawodach rzemieślniczych: stolarstwie, rzeźbiarstwie, malarstwie. Jest to więc praca bardzo mozolna i podobna nieco do malowania „al fresco", gdzie artysta nie jest zupełnie pewien, jakie otrzyma kolory, nakładając farby na mokry tynk. Powracając do omawianej boazerii, została ona prawdopodobnie rozebrana i wywieziona. W chwili bowiem objęcia Wrocławia przez władze polskie, ratusz był zupełnie pusty.

Ten sam los spotkał duży stół uchodzący za jedno z najważniejszych, najpiękniejszych i najcenniejszych arcydzieł wiekowego ratusza wrocławskiego. Jest to typowy zabytek schyłkowego renesansu, wykonany z płytami do rozsuwania. Cokół w kształcie kwadratu, wielkości 1.25 m., przybrany licznymi gzymsowinami właściwymi temu stylowi. Środkowa część między cokołem a płytą, która do niej jest przymocowana, ma obramowanie noszące wszelkie cechy bogatych ozdób architektury budowlanej, tak typowych dla meblarstwa renesansowego. Płyta o wymiarze 1.40 m. do kwadratu jest prawdziwym arcydziełem sztuki stolarskiej. Bogato inkrustowaną symetrycznym ornamentem, w którym w narożnikach są umieszczone postacie czterech ewangelistów. Ten to zabytek (według niemieckich historyków sztuki) podobno z napisem: „Meisterstück des Christian Baer von 1736", jak wyżej powiedziano, został według wszelkiego prawdopodobieństwa także gdzieś w Niemczech „zabezpieczony".



Intarsja z kościoła św. Magdaleny z datą i inicjałami W. R., bardzo rzadko spotykanymi na tego rodzaju pracach.

W tym krótkim szkicu są pokazane i opisane tylko dwa takie cenne zabytki, a było podobnych z pewnością o wiele, wiele więcej, na rozległych Ziemiach Odzyskanych.

Przedmioty, o których mowa, muszą być odnalezione i powinny być Polsce zwrócone.

Marian Padechowicz.

Korespondencja

Dwa listy do redaktora „Odry" w sprawie zasługi i zbrodni Niejakiego X

Bardzo trafne uwagi, które Niejaki X. umieścił ostatnio na łamach „Odry" pod tytułem „Sprawa pospolita", wymagają specjalnego omówienia.

Fakt, że my, Polacy, nie umiemy śpiewać w masie że Felix Nowowiejski na pewno przewraca się w grobie, ile razy śpiewamy — przy różnych uroczystościach „Rotę", musi zastanowić każdego obserwatora. Ale to mało.

Trzeba zastanowić się nad tym: **gdzie tkwią przyczyny** tego przykrego zjawiska **i czy są jakieś praktyczne środki zaradcze** w tej dziedzinie.

Postaram się odpowiedzieć na oba powyższe pytania — w elementarnym skrócie, zapraszając równocześnie wszystkich pilnych Czytelników bardzo ciekawej rubryki „Krótkie spięcia" do wypowiedzenia się w tej materii.

Trzeba stwierdzić że jeśli nie śpiewamy tak jak np. Rosjanie lub Czesi, to dlatego że obca nam jest wrodzona śpiewność. Inna już sprawa, jeśli chodzi o porównanie np. z Francuzami, Włochami, a zwłaszcza z.. Niemcami.

Nie zapomnę rozmowy z fachowcem tej miary co profesor Bronisław Rutkowski na temat porównania naszych uzdolnień muzykalnych i naszych naturalnych danych w tej dziedzinie — z Włochami. Na podstawie długich obserwacyj stwierdził on że lud nasz jest znacznie więcej muzykalny niż lud włoski.

Jeśli zaś chodzi o Niemców, to miałem tę średnią „przyjemność", że w czasie okupacji musiałem sąsiadować z koszarami, które urządzono dla żołnierzy niemieckich w jednej z najpiękniejszych szkół krakowskich (przy alei Mickiewicza). Na dziedzińcu szkoły odbywały się próby śpiewu zbiorowego. Oczywiście chodziło tu o bardzo proste melodie marszowe. Nie przypuszczałem żeby **niemiecki chłop** był aż tak **mało muzykalny** i tak **tępy**. Ileż to razy musiał podoficer „tłuc" z żołnierzami proste takty melodii marszowej...

Ale — przyznać to trzeba, że idąc ulicami Krakowa, śpiewali bardzo poprawnie bardzo składnie. Ale — ten efekt był wytłuczony" **długimi i bardzo ciężkimi próbami.**

My Polacy śpiewamy — w masie — bardzo marnie ponieważ **latami całymi był u nas zaniedbany śpiew zbiorowy.**

Ale — tam, gdzie znalazł się entuzjasta śpiewu tam było wręcz wspaniale — nie tylko poprawnie, czy dobrze.

Pamiętam, na kilka lat przed wojną jak to bardzo wybredni kuracjusze warszawscy chadzali na... nieszpory do kościoła parafialnego w Szczawnicy. Nieszpory śpiewali młodzi i starzy gromadki dzieci szkolnych skrupulatnie śledzących słowa psalmów w książeczkach do nabożeństwa i starzy gazdowie, mruczący pod nosem Dawidowe modlitwy. **Była potęga w tym śpiewie góralskiej gromady i niepowtarzalny czar** który przykuwał inteligentnych słuchaczy. Nie słyszeli czegoś podobnego w żadnej sali koncertowej wielkiego miasta.

Gdzie był sekret takiego wyniku?

Był proboszcz, który ćwiczył z gromadą (po nabożeństwach) pieśni kościelne i był chętny organista który dobrze akompaniował. **Ale na to trzeba było: konsekwencji i planu.** Metal w gardłach był pierwszorzędny .. Gdyby stary Hurkała wysłał swą córkę, Halkę na studia śpiewacze nazwisko jej widniałoby obok Ady Sari, Bandrowskiej. Hurkałówna ze Szczawnicy nie była zresztą unikatem.

Trzeba wydobyć z naszego ludu te śpiewne możliwości, które w nim drzemią.

Nie powstydzimy się porównania z Niemcami!

Kto ma budzić?

Kto ma organizować?

Kto ma uczyć tak by w niedługim czasie zmyć hańbę zaniedbania?

L. I. M.

Co to za magiczne litery?

Ludowy Instytut Muzyczny. Tak się zowie ta instytucja. **Jest.** Ma swoje placówki po województwach. Chcemy tylko aby instytut wspomniany dobrze zabrał się do roboty żeby wciągnął **do planowania i organizowania najlepszych fachowców.**

Wyniki — murowane!

Ks. Henryk Weryński
Kraków.

*

Pracując nad współczesną literaturą czeską i przełożywszy wiele wierszy i jeden z dramatów Wolkera, zainteresowałem się jego prozą. Wśród nielicznych zresztą nowel tego autora uchodzi za najlepszą (opinia znanej tłumaczki czeskiej i naszej serdecznej przyjaciółki) — „Służąca". Przełożyłem ją i wcale się tego nie wstydzę. Posłałem tę nowelę wraz z dwiema — innego pisarza, Dyka do „C. T. P.", zaznaczając, że „Służąca" wydaje mi się najmniej odpowiednia dla niektórych nieprzygotowanych czytelników tego wydawnictwa którzy mogą utwór opacznie zrozumieć. Tę nowelę jednak redakcja wybrała, a że moje obawy były słuszne, dowodem wypowiedź p. Niejakiego X. w n-rze 49 „Odry".

Nie poruszałbym tej sprawy, która mnie tylko pośrednio, jako tłumacza, dotyka gdyby nie chodziło o rzeczy istotniejsze niż nowe wcielenie księdza Pirożyńskiego. Ale użycie w stosunku do jednego z największych (bez pytajnika) poetów czeskich 20 wieku, pisarza o wysokiej bezsprzecznie wartości etycznej — Jerzego Wolkera, użycie w dobie przyjaźni polsko-czeskiej pod adresem jeszcze dzisiaj z serdecznością i wielkim uznaniem wspominanego przez kolegów (moje rozmowy o Wolkerze z Nezvalem) autora pięknych, szlachetnych wierszy dramatów i nacechowanych chrześcijańską miłością bliźniego nowel — użycie takich zwrotów, jak „parszywa literatura od strony kuchennych schodów", „pornografia najgorszego gatunku", „historia spod ciemnej gwiazdy", „pornografia dla tandeciarzy", „bezecne bzdurstwa dla najgłupszych" — wydaje mi się zwłaszcza na łamach „Odry", poświęcającej tyle uwagi sprawie zbliżenia polsko-czeskiego „Odry", która wiersze tego „tandeciarza" niejednokrotnie zamieszczała, — rzeczą wprost niepojętą. Dlaczegóż tego steku wyzwisk, uwłaczających pamięci zmarłego poety przed oddaniem ich do druku nie przeczytał Z. Hierowski, który wytłumaczyłby Niejakiemu X. kim jest w literaturze czeskiej niejaki Wolker. Nie będę tu odsyłał do źródeł czeskich (Kunc, Novotny i in.), ale może wystarczą słowa dr Jana Magiery z jego „Literatury czeskiej i słowackiej": „....Jerzy Wolker — największy etyczny poeta nowoczesnej poezji czeskiej... sercem przylgnął do tych co cierpią i są nieszczęśliwi. Spostrzegł że szczęście jednych rośnie z nieszczęścia drugich... Etyczna siła duszy zbliża go do Nerudy i tu właśnie nawiązuje do minionych i poezja jego staje się arką między dawnymi a młodszymi laty."

Wystarczy uważnie przeczytać nowelę, aby się przekonać jeśli się nie ma niezdrowo rozbudzonej fantazji, jak słuszne są słowa Magiery: że punkt ciężkości „Służącej" nie spoczywa bynajmniej na nie tyle pornograficznych, ile makabrycznych szczegółach *) ale na nieszczęśliwym losie obojga bohaterów utworu. Wyrywanie i gromadzenie cytat bez kontekstu pozwoliłoby z łatwością p. X zaliczyć w poczet pornografów-encyklopedystów naturalistów francuskich z naszą Zapolską, ba nawet Żeromskiego i biblijnego autora „Pieśni nad pieśniami".

Wypowiedzią swoją p. Niejaki X. skrzywdził wybitnego poetę obraził uczucia naszych czeskich przyjaciół, do których „Odra" dociera, rozbudził wśród młodocianych czytelników, olbrzymiej większości konsumentów C. T. P.", niezdrowe zainteresowanie i dopiął tego, że numer ze „Służącą" będzie z pewnością wyczerpany.

Kazimierz Andrzej Jaworski
(Chełm lubelski).

*) U nas przed wojną podobną sytuację przedstawił w jednym ze swych opowiadań Michał Choromański.

Krótkie spięcia

Dobijanie się do drzwi

Nie śmiejmy się z tego listu! Pisał go człowiek prosty i nieuczony, a pisał go jak umiał. I chciał w nim się wypowiedzieć na temat dręczących go zagadnień. Jakich zagadnień? Czy może tych codziennych, obracających się wokół trosk i kłopotów prostych i nieuczonych ludzi? Nie. Autor listu chciał się wypowiedzieć na temat dręczących go zagadnień — naukowych. Tak jest, naukowych, a ściślej biorąc astronomiczno-fizykalnych.

Pisze on m. in. tak:

„Bo panowie astronomowie za mało myślą a za wiele mówią bez namysłu! Bo na 100 słów raz pomyślą, a gadanina zabiera im tyle czasu, że nic nie zostanie na wykonanie trzyletniego planu. Opisuje się o wszechświecie, o gwiazdach o olbrzymich wielkościach, sięgamy o miliony lat wstecz, wszystko się wie i mówi, ale to jest taka fantazja, a nie rzeczywistość."

O co autorowi chodzi? O pewne zasadnicze prawdy, które jego zdaniem wyglądają następująco:

„Mojem zdaniem jest że świat czyli ziemia jest podstawą, a Woda jest tem życiem, który ten pierwiastek jest nikomu nieznany, ale bez wody nie byłoby życia. Pisze się, że Słońce jest z gazu itd., ale mojem zdaniem jest, że Słońce jest kulą twardą palącą się jak by była z jakiegoś materiału atomowego, a otoczona gazami czyli promieniami rodzaju radaru i rzucają te promienie na ziemię a ziemia jest otoczona różnego rodzaju cząsteczkami otamowymi, które się od tych promieni i odbijają i świecą, bo samo Słońce nie świeci! — lecz atomki (te atomki można widzieć przez lupę zegarmistrzowską, lub inną lupę o tej samej sile, najbardziej na liściach na drzewach, nie patrzeć tylko pod słońce, lecz z boku. Latem było lekko widzieć na drzewach, a przy zachodzie słońca po ludziach).

Jednym słowem Słońce jest elektrownią, otoczoną promieniami rodzaju drucików, które zapalają na ziemi te atomki czyli malutkie żarówki, których jest miliardy. Zaczynają one świecić, gdy widnieje, a gasną, gdy się ściemnia. Mojem zdaniem ta warstwa atomowa sięga od ziemi do stratosfery."

No i jeszcze jedna sprawa:

„Panowie Astronomowie powinni wiedzieć, że szkła mylą na odległość i z tego powodu robi się tysiące pomyłek, ale że tych pomyłek my nie możemy stwierdzić, więc musimy wierzyć w te pomyłki. Ziemia nie tylko się kręci, ale i unosi oraz spada. Gdy się unosi, jest jesień, gdy idzie wyżej jest zima, gdy spada jest wiosna, a gdy zejdzie na dół jest lato."

Oczywiście — poglądy autora listu nie bardzo się zgadzają z nauką i są zapewne śmieszne. Ale nie śmiejmy się z nich! Nie zapominajmy bowiem o jednej rzeczy. Ten człowiek prosty i niewykształcony pasjonuje się nauką i cokolwiek by można powiedzieć o jego wynurzeniach na temat wszechświata i materii, to jednak on naukowo — myśli. Błędnie, bo błędnie, ale mimo wszystko szuka on rozwiązania sam, swoją myślą, swoją spekulatywną filozofią!

Czegóż to wszystko dowodzi? Otóż dowodzi, iż Nauka woła wielkim głosem: „Pozwólcie maluczkim przyjść do mnie..." Minęły bowiem już czasy, kiedy ta nauka była udziałem tylko jakiejś grupy wybranych. Dziś my wszyscy pragniemy — wiedząc, a najbardziej pragną właśnie wiedzieć maluczcy. Nieprawdą jest — zresztą już wielokrotnie stwierdzoną — że oni zadowalają się tzw. przyziemnością, czyli symboliczną kiełbasą z kapustą i szklanką piwa. Nie, maluczcy pragną poznać prawdę naukową z równą pasją, jak Einstein czy Piccard.

Tylko że — nie mają do tego możliwości.

Istotą więc naszych czasów, czasów nowych, ma być i będzie stworzenie tym wszystkim, pasjonującym się Prawdą owych możliwości, aby ci, co chcą wiedzieć, czym rzeczywiście jest słońce i co to jest atom, dowiedzieli się tego.

Bo takich prostych i nieuczonych poszukiwaczy prawdy naukowej, tych dobijających się pięściami do drzwi nauki, jak autor wyżej zacytowanego listu — są legiony.

Pamiętajmy o tym!

NIEJAKI X.

Teatr jeleniogórski



Państwowy Teatr w Jeleniej Górze wystawił A. Ostrowskiego „Grzeszników bez winy". Reżyserował Ryszard Wasilewski. Na zdjęciu od lewej Zuzanna Łozińska i Bronisław Orlicz

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12 Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie Stanisław Telega, SZCZECIN ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Sp Wydawn. „Czytelnik", Katowice 3 Maja 12. Tel. 309-78 wewn. 08

R 60533